This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

72275

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

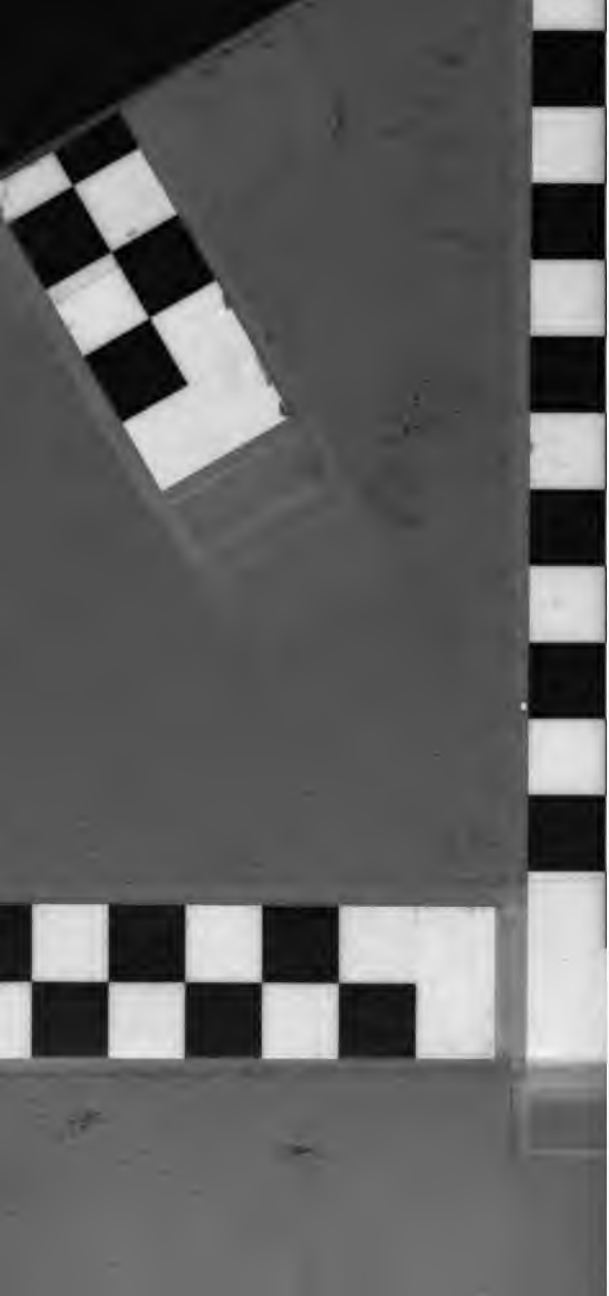

PG
7158
.D9.M3

PG
7158
.D9.M3

PG
7158
.D9.M3

STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

Margiela i Margielka

ADOLF DYGASIŃSKI

MARGIELA I MARGIELKA

POWIEŚĆ

WARSZAWA
NAKŁADEM JANA FISZERA
9 Nowy-Świat 9
1901

PG7158
D9M3

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Dwudziestego piątego września, około południa, w chacie zwanej »na Pomarlu«, przyszła na świat dziecina malutka, mdła, odrobinka taka, jak gdyby się nie miała do życia. Przyniosła sobie imię Aurelia. Ale ludzie wiejscy nie umieliby wołać na dziewuchę tem imieniem, zopakowaliby to z czasem jak bądź pokracznie, może zrobiliby z Aurelii jaką Orylkę. Agata Boberska, »jarkuselka« miejscowa, powszechnie zwana babisią, przedstawiła w należytem świetle sprawę jegomości, który uwzględnił żądanie i ochrzcił dziewczynę jako Teklę. W aktach stanu cywilnego parafii Gwoździeniec zapisano przytem wiadomość krótką, stwierdzoną przez świa-

dków wiarogodnych, że matką tej Tekli jest »Margiela wyrobnica«.

Dziewczyna, choć się urodziła dzieckiem marnem, żyła, dojrzewała. Od przyrody pobierała wzrost, siły, urodę; od ludzi — głównie naukę miłości i nienawiści bliźniego. Było to już dzieło jej własne, jeśli została kobietą głupią, mądrą, szkodliwą, użyteczną, szczęśliwą lub nieszczęśliwą.

Nikt jej potem nigdy nie mianował imieniem Tekli, nosiła do końca życia nazwę Margielki.

Matka jej — nędza ostatnia: nie doje, nie dośpi, nie ma mieszkania stałego, obleczenie w strzępach i brudzie, niedomaga na zdrowiu, niezaradna w życiu. Ta kobieta robiła wszystko, ażeby przepaść, zmarnieć i przepadała, marniała całe życie. Ludzie uznani za rozumnych — jak Tomek Ciechoń i tacy, którym się dobrze powodziło — jak Jantek Buda, mawiali:

— Sama sobie winna.

Ona nieraz powtarzała to samo.

Chadzała po zarobkach i w kance-

laryach prowentowych dworów okolicznych zapisywano ją na listach płacy: »Margiela wyrobnica z Gwoździeńca«.

W języku ustnym i pisanym nie miała innego nazwiska. Może i była pracowita, ale nie robotna. Zadychała się przy żniwie, postawała na zagonie, nie udołałaby smyrgnąć snopem w zapole, trząchnąć worem ziarna, zawalić na plecy płachtę należytą chwastu.

— Podbabie takie — powiadali ekonomowie i karbownicy — prawie do plewidła, do kręcenia powróseł, łuskania kukurydzy, do spychania przy domu jakiej roboty lekkiej, a i to...

Zapewne z tego powodu nie wyszła za chłopa. Bo któżby chciał wziąć do domu brzuch, gębę, którym brakuje ręki.

Chuchro lękliwe, niemrawa płaczliwa, kocmołuch niezdarny, zamazana szlochiwała po kątach, nie umiała trzech zliczyć, nigdy nie wiedziała nawet przy porachunku, ile jej się należy za robotę. Była ogromnie rzewliwa, nie umiała stawić się ludziom, odciąć językiem, od-

powiadała jeno łzą cichą na wszelką obrazę.

Margiela mieszkała na Pomarlu, w chałupie zapadłej w ziemię tak głęboko, że strzecha bez mała nie dotykała gruntu. Pies Chwytek, strażnik rudery, łatwo wskakiwał na tę strzechę i wylegiwał się do słonka, dopóki osy i szerszenie gniazd tam sobie nie pozakładały. Była to chata osobliwa, wygodna dla wielu stworzeń żywych, tylko nie dla ludzi. Pokolenia mnogie mchów zielonych, pokryły strzechę kożuchem grubym, ciężkim, w którym żyły i rozmnażały się przerozmaite gatunki owadów. Na kalenicy porastały grzebieniem pokrzywy, ślazy, trawy kłosiste i wiechowate, a ponad nie strzelała w górę brzózka śmigła. Pliszka trzęsi-ogonek latem codziennie tutaj wyławiała muszki, uwijając się fertycznie. Jaskółki wiatroskrzydlne szybowały naokolusieńko, gdyż żeru nie brakowało w tym rogu obfitości. Nietoperze od zmierzchu do świtu pracują na chleb równie gorliwie. Wróble wtargnęły w każdą dziurę

strzechy: było widać z daleka słomiano-pierzate bety gniazd ich i rozlegał się świegot pieszczotliwy piskląt »cielk, cielk«. To też kot na Pomarlu opływał w dostatki, wyglądał okazale. Wewnątrz chaty szczury i myszy harcowały po nocach zgiełkliwie, a w podziemiach pourządzały sobie gospodarstwa. Ropuchy czaiły się po kątach, polując na stonogi, skorki, szczypawice.

Nazywano ową chatę »na Pomarlu« od niedawna, ponieważ w lecie wymarła tu cała rodzina Główkowiczów i ich spadkobiercy mieli wstręt do zamieszkania w takim domu. »Zaraza mogła tam jeszcze przesiadywać«. Przy domu, pozostał po zmarłych pies srokaty Chwytek i ogromny kot bury. Chwytek miał takie usposobienie, że bicie w dzwony za dnia, a widok księżyca w nocy zawsze pobudzały go do wycia żałosnego. Jakkolwiek psie głosy nie idą w niebiosy, wycie na Pomarlu przejmowało trwogą mieszkańców Gwoździeńca, którzy przypisywali psu zdolność wieszczego przeczuwania moru,

głodu, wojny. »Wył, wył i wywył śmierć Główkowiczów«. Tylko Tomek Ciechoń lekceważył te poglądy i mawiał:

— Równo pies jak i człowiek musi zawyć z głodu.

Dziedzic Gwoździeńca, pan Kurczyński, wyrażał się o Ciechoniu:

— Bestya materyalista!

Otóż, Margiela zamieszkała na Pomarlu na jakiś czas przed swoją chorobą — byleby schronić głowę pod dachem i nie rzucać się w oczy ludziom. Poprzednio mieszkała w starej karczmie, gdzie także kowal Płatkowski miał skład żelaztwa starego. Żelazo, jak twierdził organista, sprowadziło na karczmę piorun w lecie, co zmusiło Margielę do opuszczenia tej siedziby: obawiała się, aby piorun nie uderzył po raz wtóry.

Chwytek od razu przystał do nowej gospodyni i nazajutrz polazł za nią na zarobek. Wyrobnica odjęła sobie od ust kawałek chleba suchego, aby się z psem podzielić. Ci, którzy najczęściej pracują na chleb, mają go mało; a tu Pan Jezus każe dzielić się z nic nie mającymi.

Trzeba mieć taką wiarę w ludzi, jak Boberska, ażeby ciągle powtarzać:

— Ludzie w Gwoździeńcu są dobrzy.

Pies Chwytek i Margiela wyrobnica wyciągali z tej dobroci korzyści względne. Co prawda, Margiela była grzesznicą, pies puszczał się na złodziejstwo. Bóg tylko jest nieograniczenie dobry: nie dręczy, nie karze. Dobroć ludzka wychodzi nieraz bokiem temu, który jej doznał.

Dziecko się urodziło w pustce Pomarla i matka zapłakała nad niem gorzko.

— Oj niepotrzebnieś ty na świat przyszła! Jak ja nieszczęśliwa pokażę się teraz ludziom... Każdy mi w oczy bluzgnie — małpa... Dwie biedy straszne będą od dziś, miasto jednej.

Kobieta biada tak, popłakuje, dziecina powrzaskuje obok matki; wtem niespodziewanie babisia wchodzi do izby, ma minę surową jak ksiądz w konfesyonale i mówi głosem grubym, szorstkim, choć spokojnym:

— Niebożę, po niewczasie ty łzy

lejesz! Gdybyś dzisiaj nawet wypłakała oczy, to ci już nic nie pomoże. Rozumiem żal twój, jeno nie pora mówić o takich rzeczach.

Spojrzała na dziecko.

— Krzyneczka maciupcia — rzecze — trza najprzód wody zwarzyć i okąpać toto.

Boże litościwy, a w czemże tu warzyć wodę, w czem kąpać maleństwo? Nie było w izbie ani warzniczka, ani kawałka drewna, ani żadnej rzeczy potrzebnej. Łóżczyna — gruchot stary po nieboszczce Główkowiczowej, zmarłej coś przed kwartałem, jak powszechnie mniemano, na cholerę, kęs barłogu stęchłego i na tem: zgrzebna płachta twarda a brudna, Margiela jeszcze brudniejsza niż płachta i ta dziecinka witająca świat wrzaskiem płaczliwym. Przenajświętsza Częstochowska w koronie, z dwiema kresami przez policzek, w płaszczu ponaddzieranym, poplamionym przez wilgoć, spoglądała wzrokiem surowym z obrazu nad łóżkiem. Babisia

rzuciła okiem na ten obraz i szepnęła jakby sama do siebie:

— Grzechy ludzkie są wielkie; ale Syn Boży odkupił je przecie męką Swoją.

Z temi słowy wyszła przed chałupę, pomrukując:

— Co tu zrobić z takiem biedactwem?

Popatrzyła wokoło i już wiedziała, co zrobić. Jak raz któraś sąsiadka porozwieszała na kołkach płotu warzniczki czarne, czerwone, białe i różne naczynia domowe, aby po wymyciu schły na słońcu. Prośba o pożyczenie łatwo może spełznąć na niczem. Lepiej wziąć bez pozwolenia, a potem najpokorniej przeprosić, pięknie podziękować za użyczliwość. Boberska miała swoją politykę, była stanowcza i w razie potrzeby nagłej nigdy rąk nie założyła. Zdjęła bez namysłu z kołka garnek ogromny, wzięła pod pachę niecki, przyniosła to wszystko na Pomarle. »Warzniczka ani niecek nie ubędzie a ja nie okąpię dziecka na powietrzu. Zresztą wiadomo, że

ludzie w Gwoździeńcu są dobrzy, lubią dopomódz biednemu«.

Po chwili znowu wyszła przed chatę, widzi gromadkę dzieci bawiących się na środku i z góry na nie krzyknie:

— Bąki głupiusieńkie, zbijacze jedne, potrzebaż wam się ciapać, babrać w błocku, kiej możecie robić użytecznie?

Babisi dużo było wolno w Gwoździeńcu. Ludzie starsi szanowali ją, a ona uważała dzieci całej wsi jakby swoje, ponieważ się przy niej rodziły. Miała u ludzi mir, uznanie. Więc i teraz rój dzieci porzucił zabawę na jej wezwanie, jaki taki malec pędził do babisi, która głaskała jedno po głowie, po twarzy, drugiemu otarła noc fartuchem, do trzeciego się uśmiechnęła, czy rzuciła słówko dobre.

— Dalej-że smarkate — mówiła dobrodusznie — uzbierajcie mi raźno trzasek, patyków suchych! Duszyczka chrześcijańska przyszła na świat, muszę ją okąpać, ażeby czyściutka stanęła w progach kościoła do chrztu świętego.

— O wiadomo, wiadomo! — zawo-

łał Mikołajek, chłopak dziesięcioletni z czupryną kanarkowo-białą i zuchwałem spojrzeniem oczu niebieskich, wyłupiastych. — Toć z daleka słychać, jak na Pomarlu wrzaskul maluśki skrzeczy. Od razu powiedziałem: Urodził się dzisiaj Margielek albo... Margielka...

Rzekłszy to, chłopiec poskoczył ku obejściu Jantka Budy, a za nim ruszyła krzykliwa gromada dzieci. Około sadu był tam płot stary, dziurawy i ten głównie dostarczył paliwa dla zwarzenia wody potrzebnej na kąpiel dziewczynki nowonarodzonej. Malcy z zapałem znosili chróst suchy, kołki płotu, a babisia nieciła na kominie ogień, grzała wodę, pochwalała gorliwość dzieci.

— Dobrze, bardzo dobrze! Panienka się urodziła, więc ją chłopcy obsługują.

Do Mikołajka zamawiała »synku«, gdyż był to jej wychowanek, syn przybrany. Wdowa Boberska nie miała swoich dzieci.

Rozebrano już spory kawałek płotu, kiedy naraz stanęła na progu chaty Budzina, przezwana we wsi »nagłą Ma-

gdą«, kobieta impetyczka, gotowa w pierwszej złości rozedrzeć tego, kto ją rozgniewał. Ręka zaświerzbiała babę na widok tych małych psujów płotu.

— Ciewy ludzie, jakie to raki rozpustne! — krzyknęła gniewnie i zaraz skoczyła między dziatwę, zaczęła grzmocić, walić, trzaskać, tarmosić, gdzie które popadła. — Wy nic-dobrego, zbereźniki nic potem, to z was ludzie być mają!

Bierze za włosy jednego, trzęsie nim jak wiechciem, a mały wrzeszczy:

— To nie ja, to Mikołajek!... Jak Bozię kocham, Mikołajek!

Dopadła Mikołajka, chwyciła za ucho, okłada pięścią po plecach, aż w nim dudni, i dziesiętuje:

— Marcho zatracony, tyś jest najpierwszy do psoty kaździuteńkiej! A masz! masz!... Wara ci od płotu gospodarskiego!

Chłopak przegiął się, oczy wybałuszone zbielały mu z bólu, czy strachu. Skamlał najprzód, wypraszał się:

— Puśćcież mię, gospodyni!... Oj jej

jej!... Moiście wy!... Ja nie krzyw!... Babisia nam kazała!... Oj jej, gwałtu!... Margielka, widzicie, urodziła się na Pomarlu!...

Już nic nie mówił, jeno rozdziawił gębę i głosem nieludzkim darł się tak straszliwie, że kury, gęsi zaczęły pierzchać, a Chwytek wybiegł na drogę zobaczyć, co się dzieje. Nareszcie nagła Magda kopnęła malca na pożegnanie i z zapalczywością ogromną — istna jędza — wpadła obces do izby Margieli. Powiodła po obecnych okiem rozpłomienionem, rozpuściła język jak wiatrak, jęła maścić Boberskiej za to, że uczy dzieci kradzieży. Wsiadła potem na wyrobnicę.

— Do tego przyszło, żebym ja za sąsiadę miała taką ladaco!... Na polu, w lesie, wylegaj się ze swoim bachorem, a nie tu mi się pod oczy sprowadzaj, paskudnico!

Nie spisałby na skórze wołowej tych obelg, przekleństw, które ona tam wyrzuciła z siebie.

Margiela nie zrozumiała, o co chodzi,

szeroko otwarła oczy przerażone i trzęsła się ze strachu, a łzy ciekły jej z oczu.

Boberska, jak gdyby nie do niej mówiono, spokojnie warzyła wodę na kąpiel, przyrzucała drew do ognia, wkładała w garnek jakieś okruchy ziela święconego. Dopiero kiedy się Budzina wykłapała i, sapiąc, chłodła w zawziątku, babisia poprawiła sobie na głowie czepiec, stanęła przed nagłą Magdą z rękami skrzyżowanemi na piersiach i z powagą wielką przemówiła w te słowa.

— Niechże ja wam, Magdaleno, powiem teraz, co myślę! Gadanie wasze, z przeproszeniem, plewy, nie słowa gospodyni mądrej, za jaką was zawsze uważam. Za to, że dzieci rozebrały kawałek płotu starego, który świnie codziennie psują bez pytania, bez kary, naswarzyliście na mnie niewinną, zwołaliście od ostatnich Margielę jeszcze niewinniejszą, sponiewieraliście na nic tę chudzinkę, mającą parę godzin życia, co na niej najmniejsza wina nie może ciążyć. Mniejsza tam o mnie, mogłabym znieść od was ieszcze więcej,

jako po przyjaźni... Co się tknie Margieli, to prawda, że ona grzeszna; ale przecie sąd na grzeszników należy do Boga. My tu w jego imieniu potępiamy bliźnich, tymczasem nasze potępianie może właśnie On uważa za winę najcięższą... No, a to niemowlę narodzone przed chwilą, aniołek niewinny? Ma na sobie pono jeden jedyny grzeszek pierworodny, który woda święcona spłócze za mały kęs czasu. Jakże wy, gospodyni stateczna, możecie dnia dzisiejszego mieć taką nagłość w języku i naraz tyle ludzi winić bez przyczyny? Między nami mówiąc, nie dziwiłabym się, gdyby to zrobiła Pukalina, kobieta mająca świerzbiączkę w gębie...

Mowa spokojna, przekonywająca, stropiła nagłą Magdę, wywołała w głębi jej, duszy wyrzut sumienia, głównie za skrzywdzenie niemowlęcia. Ale kobieta niezupełnie jeszcze ostygła, chciała się bronić wbrew własnemu przekonaniu i odburknęła z goryczą:

— Jakby to małe zmarło zaraz po ochrzczeniu, zostałoby aniołem w nie-

bie: jeśli pożyje, będzie ladaco... Bo jaka mać taka nać!

Wyrobnica rzuciła się niespokojnie na łóżku i wybuchnęła łkaniem, a Boberska, podchwytując ostatnie słowa Magdy, zawołała:

— Oj niekoniecznie, Magdaleno, niekoniecznie! Dwa lata temu, akuratnie taki sam przypadek spotkał Frankę Nawrotównę, a przecież jej matka, wiecie to doskonale, cnota nad cnotami!

Budzina spłonęła, gdyż Franka była siostrą jej rodzoną i narobiła takiego wstydu całej rodzinie, że ojciec zmarły przed dziewięciu miesiącami wyparł się tej córki.

Tymczasem babisia wzięła się do roboty, wylała wodę wrzącą z garnka na niecki, dolewała wody zimnej, robiła próbę ręką, czy kąpiel nadaje się dla dziecka.

— Każdy człowiek jest grzeszny — mówiła od niechcenia — ale ma zawsze na myśli tylko cudze grzechy.

Wzięła dziecinę na ręce, ułożyła w kąpieli i rzekła głosem łagodnym:

— Magdaleno, spojrzyjcie-no, jak ten robaczek na oczach rośnie w kąpiołce! Boże miłosierny, nie daj że jej zginąć marnie na świecie! Moje ty bobo, śliczności, klejnotek milusi!

Klasnęła językiem, cmokała wargami, opluskiwała maleństwo wodą.

Nagła Magda udobruchała się całkowicie; widok maleńkiej dzieciny wzruszał kobietę, która gorąco pragnęła zostać matką. Opłakiwała już teraz w duszy swoje uniesienie, byłaby rada wynagrodzić Margieli, Boberskiej i niemowlęciu wszystkie przykrości sprawione przed chwilą.

— Jużcić Bóg pewniczkiem wzruszy jaką duszę uczynną, ażeby sprawiła temu dzieciątku koszulinę, pieluszki... Boć nie mogę przecie ponieść dziecka nagiego na chrzest do świątyni.

Prawiła babisia, a Budzina w tej chwili czuła, że Bóg wzrusza jej duszę, spoglądała miłościwie na dziewczynkę i miłość macierzyńska błysnęła w oczach nie-matki. Boberska zmiarkowała to widać, gdyż rzekła:

— Ludzie na okolicę wiedzą, żeście wy, Magdusiu, prędcy w mowie, zapałka czysta... Jeno złość takiej kobiety buchnie od razu i koniec, a zostaje serce złoto szczerzuchne.

To już tknęło Magdę do reszty. Każda niewiasta jest czuła na pochlebstwa; więc i Budzina przez chwilkę głaskała ręką swój biały, pulchny podbródek, wypogodniała na twarzy, a była to baba bardzo urodziwa. Potem raźno pobiegła do domu, pozbierała tam różne szmaty stare i wnet je przyniosła na ołtarz miłosierdzia. Kiedy z powrotem stanęła na progu izby, babisia właśnie owijała w swą zapaskę dziecko wykąpane i zamierzała złożyć je uśpione na łóżku obok matki. Boberska i Magda wzięły się teraz do igieł, ażeby przygotować dla dziecka bieliznę potrzebną. Szyły bardzo pilnie, przytem gwarzyły o tem i o owem. Jantkowa mimochodem poruszyła sprawę, której dotykała już nieraz w rozmowie z babisią: czy kobieta od pięciu lat zamężna, a bezdzietna, może jeszcze mieć nadzieję po-

tomstwa? Boberska udowodniała przykładami licznymi, że nadzieja dzietności nie powinna opuszczać mężatki nawet po piętnastu latach bezpłodnego pożycia w małżeństwie. Następnie, Budzina z niejaką zazdrością i niechęcią mówiła o kobietach, które corocznie obchodzą chrzciny a miała na myśli Dorotę Rudnikową.

— Bez mała co dwa lata troje dziecek jej przybywa, a kiej się urodziły bliźnięta, to było czworo... Trudno o większy urodzaj na dzieci.

— Ona, moja Jantkowo, już taką ma naturę, że czy chce, czy nie chce, zawdy jej się dziecko urodzi, baba dzietliwa.

Podczas tej rozmowy jedna z nich uszyła koszulkę, druga obrębiła trzy pieluchy.

— Macie zasługę przed Panem Bogiem za te szmaty — rzekła Boberska, składając swą robotę, a potem nachyliła się do ucha Magdy i szeptała:

— Tylko, widzicie moiściewy, koszulka może posłużyć też i do tru-

mienki temu maleństwu, jeżeli je matka odumrze.

— Co wy mówicie, Agato? — pytała Magda nawpół z przestrachem, nawpół zdziwiona.

— Przypatrzcie-no się tej Margieli! Zdechlak ostatni, wygląda jak Piotrowin... Nie takim być matkami!

— Widzę, widzę! — odparła Budzina, wpatrując się z pewną odrazą w Margielę, pożółkłą, zczerniałą, zawiędłą, chudą jak szczapa. — Możeby garnuszek mleka, garstkę krup, trochę jakiej omasty?

— O i to się przyda tutaj! — odpowiedziała babisia. — Ale żeby na dobre skrzepić chorą, postawić na nogi, trza jej koniecznie warzyć rosół z kurzyny... Wam, Magdusiu, na psa urok, kury darzą się prześlicznie.

— Ej, kaj tam, kaj! — odrzuciła Jantkowa z niechęcią wyraźną. — Latoś tchórz bestyjnik, czy inny szkodnik, sprzątnął mi cztery kokoszeczki galante.

Powiedziawszy to, podparła dłonią

podbródek, odęła wargi, a na całej twarzy odbił się wyraz niezadowolenia.

— Co znaczą cztery kury przy waszym dostatku gospodarskim? Gdyby wam tchórz wydusił nawet wszystkie kokoszki i do tego... gęsi, kaczki, nie poczulibyście straty.

— Agato, Agato! Toć w złą chwilę możecie wymówić słowa takie.

Rozmowa się urwała.

Margiela głucho postękiwała, spoglądała przed siebie oczyma błędnemi, głęboko zapadłemi, a ręką czarną, popękaną, wychudłą zlekka przytulała dziecię do boku. Budzina przestała głaskać podbródek, na dłoni lewej ręki wsparła łokieć prawicy, którą trzymała na skroni, i zadumana czegoś stała jak marmur. Zażądano od niej kury, a ona kochała się w swych kurach jak w dzieciach, ponieważ nie miała dzieci. Chowała okrągły tuzin kokoszek, wszystkie nieśne, urodne, istne panienki, chodziły po podwórku, pogdakiwały »ke, ke, kee!« Lubiła je karmić, pielęgnować, macać. Te kokoszki śliczne, zaszczycone łaska-

mi pani domu, były to figury najpierwsze w obejściu gospodarskiem. Wielka pani zastępuje sobie brak dzieci psami, papugami, gdyż pragnie przelać na jakieś stworzenia żywe uczucie macierzyństwa. Budzina ulubiła sobie kury. Jakżeby naruszyć tuzin, zepsuć liczbę! Przytem żadna z owych powabnych czarnuszek, białek, jarzębatek, nie nadawała się pod nóż na rosół. Boże uchowaj! Wprawdzie babisia podbiła Magdzie bębenka, wysławiając jej dobroć serca, uczynność; ale babisia nie miała pojęcia o tem, jak nagła Magda miłowała swoje kury.

— Czyby się nie wymówić, nie wykręcić jakim sposobem, oszczędzić sobie przykrości odmowy wręcz, a nie dać Boberskiej powodu do mniemania, że taka gospodyni całą gębą jest skąpa dla biednych... Gdyby ta Margiela nieszczęśliwa zmarła, miałabym na sumieniu sierotę... Prawda, a jednak nie mogę oddać kury! Raczej przygarnęłabym dziecko po śmierci matki!

Częstochowska z Dzieciątkiem Jezu-

sem na ręku zdawała się groźnie spoglądać na Jantkową, która teraz oburącz zakryła oczy i biła się z myślami:

— Szkoda mi kury, szkoda matki i jej dziecka! Co tu zrobić?

Miłość bliźniego miewa wroga w upodobaniach samolubnych i dlatego jest przykazaniem. Jedno z dwóch uczuć walczących w sercu człowieka musi zwyciężyć — filantrop albo egoista.

Podczas tego Boberska krzątała się, robiąc porządek po okąpaniu dziecka, a częstokroć wysyłała na zwiady swe mądre bure oczy w kierunku Budziny: oczekiwała widocznie, co też ta gospodyni postanowi. Chciała kobiecie dobrej dodać dodać ostrogi do spełnienia czynu dobrego i rzekła:

— Po co wy, Magdaleno, chowacie przy swoich kokoszkach aż dwa koguty?

— A prawda! — podchwyciła Magda z pośpiechem. — Dam koguta! Czemuście mi od razu nie mówili o kogucie? — zapytała jak gdyby z urazą i wyrzutem.

Przypomniała sobie bowiem nagle, że w samej rzeczy kokoszki jej bardzo coś stronią od starego kura i wszystkie co do jednej lgną do młodziaka, który musi nieustannie z ojcem sędziwym staczać bitwy krwawe o panowanie na podwórku pod hasłem miłości. Starzec zawzięcie uparty a zupełnie nieudolny do rządów tego rodzaju nie złoży dobrowolnie władzy sułtańskiej, przeto powinien słusznie zginąć pod nożem. Gospodyni poświęciła owego pitucha starego już bez najmniejszego skrupułu, pamiętna i na to, że jemu głównie należało przypisać jaja lekkie, beztreściwe, które przy ostatniem sadzaniu kwoki spłynęły na wierzch wody w misce.

Jednocześnie Boberska dowiedziała się od Jantkowej, że u Doroty Rudnikowej w tym roku przyszła na świat i żyje kaczka pokraczna, niezdolna ani do chodzenia, ani do pływania.

— Taki ptak prawie na rosół dla chorego, nie na chowanie.

— Ja zawdy powtarzam swoje —

mawiała babisia — że ludzie w Gwoździeńcu są dobrzy.

Tomek Ciechoń był innego zdania.

— Są głupi, są i bardzo głupi; ale nawet najgłupszy ogląda się na użytek własny.

Z pomiędzy dobrych, babisia była chyba najlepsza w Gwoździeńcu. Przychodziła codziennie na Pomarle, opiekowała się troskliwie wyrobnicą chorą, pielęgnowała niemowlę, a potem śpieszyła do innego chorego lub chorej. Zwykle wstępowała to do Budziny, to do Rudnikowej, Ciechońki, Pawlikowej, do kuchni dworskiej, nawet do Pukaliny, zachęcała różne kobiety, aby nie zapominały o Margieli.

— Bóg wam stokrotnie wynagrodzi na zdrowiu, na dzieciach, na gadzinie, zbożu.

Budzina nie miała dzieci, a pragnęła mieć i była pewna, że babisia w tem coś jej pomoże. Rudnikowa znowu, u której co rok, prorok, spodziewała się, że Boberska zażegna jako chrzciny nieustanne. Ciechońka czyniła babisi

zwierzenia potajemne, użalając się na męża. Palikowa ciągle zapadała na jakąś chorobę kobiecą i potrzebowała rady lekarskiej. Ulina, dziewka dworska, która miała znaczenie ogromne przy dworze, była siostrą rodzoną Rudnikowej i już dlatego ceniła Boberską. Pukalina, wścibska, gadulska, skwapliwie poszukiwała stosunków z osobą mającą we wsi uznanie powszechne. Więc babisia mogła przez ludzi wiele zrobić i nieraz robiła.

Margiela gryzła się zrazu przyjściem na świat córki; ale kiedy widziała, że ludzie nie okazują jej wzgardy i dbają o nią, o dziecko, mimowolnie powtarzała w myśli za Boberską:

— Ludzie są dobrzy.

Tak myśląc, zaczęła nawet kochać swą małą. Bo człowiek staje się lepszym, kiedy widzi dobrych naokoło siebie. Otoczenie ułatwia mu i uprzyjemnia życie.

II.

Coś szóstego dnia rano babisia, jak zwykle, odwiedziła Margielę, która niecierpliwie rwała się do wstawania.

— Kości bolą człowieka z leżenia, cni mi się okrutnie, życie obmierza.

— Sama nie wiesz, co ci grozi... Nie waż się wstawać, leż kamieniem! Za jakie cztery, pięć dni zobaczymy. Musisz wypocząć, nabrać sił, przybędzie ci pokarmu w piersiach.

Boberska wypowiedziała to z naciskiem, kiwając palcem nad chorą i śpieszyła się na łeb na szyję, gdyż przysłano po nią furę z Woli Lipowej, gdzie gospodyni jakaś zachorowała nagle.

Chora wyrobnica, dzięki staraniom babisi, miała w domu i kwaterkę krup i garnuszek mleka, i kromeczkę chleba

białego, osełkę masła w łaszku i parę jajek. Przetarła się nieco od leżenia, przebielała na ciele, wyładniała cokolwiek i była już teraz podobniejsza do człowieka, którego Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje. Czuła, że jej siły powracają; ale kiedy się wyspała w dzień, nie mogła zasnąć w nocy i strachy dręczyły ją straszliwie. Dawniej, spracowana padała na ten barłóg jak kłoda, a nigdy żaden strach snu jej nie zamącił. Teraz słyszała wyraźnie chroboty dziwne, dreptanie, tupanie, łomotanie, piski jakieś i myślała:

— Dusze pokutujące pewnikiem tak przeszkadzają.

Ha, wiadome rzeczy, na Pomarlu straszyło. Nie mogło być inaczej tam, gdzie ludzie zmierali śmiercią nagłą i niespodziewaną. Brr, śpijże tu w nocy! Chwytek musiał nieraz zwęszyć coś takiego, zasłyszeć, może i zoczyć, gdyż podejrzliwie powarkiwał na podwórku, czasem szczeknął i poskoczył, albo znowu przysiadał na ogonie i wył tak przeraźliwie, aż ciarki przechodziły człeka.

— O rany, a czegóż ten psisko tak wyje, jak gdyby chciał wywyć co najgorszego!

Krótko mówiąc, noce bezsenne bywały niezmiernie przykre dla chorej. Bodaj to dzień jasny, pogodny!

Szczęście, że nad łóżkiem Margieli wisiał obraz Częstochowskiej, przy którym nie mogło się stać człowiekowi nic złego! Licho nie ma śmiałości bliżej podejść.

— Pod Twoją obronę uciekam się, święta Boża Rodzicielko! — szeptała wyrobnica wśród ciemności nocnych, a tu w izbie coraz to: łup-łup, bęc-bęc, tup-tup i chi-chi-chi, pi-pi-pi.

Ślubowała uroczyście:

— Jak tylko wstanę i zarobię pierwszy pieniądz, zaraz sprawię przed obraz świecę, ażeby gorzała przez calutką noc z soboty na niedzielę.

Powędrowałaby chętnie z kompanią na Jasną Górę, jeno pewnie na to nigdy się nie wspomoże.

— Wielki Panie, trzebaż mieć z dzie-

sięć złotków, ażeby się uczciwie pomodlić! Pieniądze niezliczone.

Nędza ostatnia odbiera człowiekowi pociechę jedyną, oddaliwszy go już od ludzi, odsuwa i od Boga.

Chodziła już raz do Częstochowy, użyła nabożeństwa prześlicznego za grosz zapracowany w krwawym pocie czoła. Dziś jeszcze miała pamiątkę i pociechę z tej wyprawy, bo wtedy właśnie kupiła sobie ów obraz Częstochowskiej, cudowny niezawodnie, skarb jeden jedyny, jaki posiadała. Przecież tak dobrze, miło jest westchnąć w niedoli, zawołać z głębi serca wyrwanym głosem:

— Królowo niebios, zlituj się nademną!

Wówczas ziemia znika pod stopami i czuje się w duszy coś, jak gdyby wszystko dokoła człowieka uległo zmianie. A tu się nic nie zmieniło, tylko dusza czuje.

W powrocie z Częstochowy ustała, nie mogła podążać za kompanią przez piachy srogie. Ludzie tymczasem, jak

na złość, rwali co tchu do domu, gdyż żniwa gorące mieli za pasem. Sama jedna, głodna, zemdlona, sterana, przywlokła się do Gwoździeńca i dla braku sił nie chodziła na zarobek przez jakiś tydzień, żyła w niedostatku ciężkim. Wtedy poznała się bliżej z Boberską. Ofiarowała wszystkie swoje dolegliwości Matce Bolesnej, która daleko więcej wycierpiała pod krzyżem Syna swego, Zbawiciela świata.

Bogarodzica oczywiście musiała okazać miłosierdzie wyrobnicy biednej, powróciła jej zdrowie. Agata, babisia leczyła ją, żywiła — pewnie z natchnienia cudownego.

Margiela przyszła do siebie i zaraz pośpieszyła z sierpem na zagon; ale mdło pracowała i tylko do południa. W południe zjadła skórkę chleba suchego z serem jak kamień, niejeden nie ma i tego a robi; opiła się wody zimnej ze strugi, potem legła w bróździe na ściernisku, aby wypocząć. Może podczas snu żaba w nią weszła, czy robak zły jaki. Zimno ogromne przeszyło ją

nawskroś, trzęsło tak, że zsiniała, szczękała zębami. Po tem zimnie gorączka nastąpiła, pragnienie nienasycone, którego nie mogła ugasić, chociaż piła a piła wodę w strudze.

Inni żeńcy chwycili raźno za sierpy, przodownice uderzyły w pieśń wesołą i żęto żwawo, aż zboże szumiało. Ona jęczała, rozpalona, prawie nieprzytomna, bezsilna.

— Wstawaj, Margielo! Zagon twój niedożęty ucieka przed tobą!

— Jakie toto ślamazarne, rozlazłe! Prawie jej wiercić mak w donicy, nie na zagonie stawać!...

— Ej gadanie! Złej tanecznicy i koszula zawadza! Robota jej śmierdzi, nicpoń psia wiara, leżuch zatracony i wszystko!

Tak, albo nawet gorzej, naigrawali się z niej żniwiarze, choć ona nie wiedziała o Bożym świecie.

Ludzie, jak ludzie, niekiedy bywają dobrzy, często — źli.

Zimnica czwartaczka trapiła ją półtora miesiąca. Skóra i kości zostały

z kobiety — mara chodząca powleczona woskiem. Nie mogła ruszyć ręką ani nogą, nie stało jej już siły, aby myśl wznieść do Boga. Dopiero ta Boberska widzi, że sama nie da rady chorobie, więc zabrały wyrobnicę, powiozła ją do miasta, gdzie lekarz zapisał różne lekarstwa. Chwała Bogu, dźwignęła się, stanęła na nogi.

— Jużci chyba Częstochowska natchnęła babisię. Zdrowaś Marya, łaskiś pełna!

Myślała niekiedy, że obraz cudowny wytwarza w Gwoździeńcu ludzi dobrych.

Boberska, odjeżdżając do Woli Lipowej, powiedziała dzisiaj:

— Leż, leż kamieniem! Za cztery, pięć dni zobaczymy...

Tymczasem słońce popołudniowe wkradło się do izby ciemnej jak grób, strzeliło pasemkiem nici promiennych z pod strzechy zapadłej, oświetliło twarz pochmurną Częstochowskiej. Margiela, nawpół leżąc, nawpół siedząc, trzymała niemowlę na podołku i rozmyślała o tem,

co było. Promyk słońca ślizgający się po główce dziecięcia ożywił wyrobnicę, natchnął jej chęć żywą użycia świeżego powietrza. W tej izbie można jeszcze było przesypiać nocy — o ile człowiek zdołał zasnąć, życie stawało się tu nieznośne, gdyż każdy zmysł miał do czynienia z tem, co jest wstrętne dla niego.

Margiela ożywiona widokiem słońca, powstała z łóżka prawie mimowolnie, wzięła dziecinę na ręce, przytuliła ją do piersi i krokiem chwiejnym niepewnym wyszła przed chatę. Świat zawsze miał i ma powab wielki dla wszystkich tych, którzy koniecznie potrzebują do życia powietrza, światła, przestrzeni, a brakuje im tego właśnie.

Ognisty krąg słoneczny, otulony płaszczami chmur krwawo-purpurowych i kapiący złotem, wisiał ponad lasami, żegnając ziemię całą potęgą swojej wspaniałości. Bicze pajęczyny o połysku srebrnym, drgając, bujały w powietrzu czystem. Na tle złotawem ścierniska wyraźnie odbijały gęsi, krowy czarne i krase i czerwonawe, wśród których

migały postacie szare pasterzy i pasterek. Oziminy młode już się zaruniły, puściły zarost szczypiorów młodocianych — wiosna w jesieni. Niwka prosa brunatnego, druga rzepy zielonej i trzecia — łubinu o strąkach grubych okoliły pół-łanek kartofli z badylami zeschłymi, gdzie zając kotlinę a kuropatwy założyły sobie paprzysko. Grusza dzika stoi na miedzy, widać wśród jej gałęzi sroki w ciągłym ruchu. Jastrząb ogromny wspaniale krążył w przestworzu, skrzydłami wiosłował i z góry wpatrywał się w tajemnice nizin, a pierze jego mieniło się rudawo od blasku słońca zachodzącego. Słup dymu błękitnego wił się prosto jak strzelił ku niebu.

— Pastuchy psotnicy pewnie skopali gdzie kartofle ludzkie i pieką je sobie.

Wał lasu ciemnego zlewał się ze sklepieniem niebios, zamykał w okółek szachownicę rżysk, ugorów pokładanych, kartoflisk, łąk, ozimin; drzewa jego najwyższe sterczały ponad pokoleniem młodszem i rysowały się wyraźnie na

tle nieba zasypanego blaskiem olśniewającym słońca. Stada ptaków pośpiewujących, zaniepokojonych o nocleg, pośpiesznie przelatywały nad Gwoździeńcem, a niewidzialne kuliki gdzieś tam w górze wysoko, wysoko odzywały się głosem smętnym.

Krajobraz ten, ma się rozumieć, nie wprawiał wyrobnicy w jakiś zachwyt, w rozczulenie, a swoją drogą wywierał on wpływ na kobietę. Okolica owa stanowiła ojczyznę Margieli, a dziecię przyrody tęskni do ojczyzny i kocha ją silniej niż człowiek, który się wzniósł na wyżyny cywilizacyi. Zjawiska przyrody pociągają ku sobie naturalnie ludzi prostych, zapisują się szczerze w ich umysłach, stają się przywykiem, potrzebą, bez której człowiekowi jest bardzo trudno wyżyć na obczyźnie, czy w zamknięciu. Wszelkie stworzenie żywe zrasta się niejako z otoczeniem rodzinnem, które jedno sprzyja mu i zapewnia przyjemność używania życia.

Chwytek na widok Margieli z dziecięciem przy, piersi, podniósł głowę z le-

gła swego i zdawał się zapytywać wzrokiem zadziwionym:

— Czyż to jest rzeczywiście ona, moja gospodyni? Przecież nie widziałem jej nigdy jeszcze w takiej postaci.

No i, jak to pies, powstał, zbliżył się, obwąchał ją, poznał i uszczęśliwiony pozdrawiał merdaniem ogona, poszczekiwaniem, wyskakiwaniem radosnem. Wyrobnica usiadła na przyźbie, spoglądała przed siebie, słuchała naokoło, a może pierwszy raz w życiu miała dosyć czasu, aby spojrzeć na świat i nad nim się zastanowić.

Po stodołach chłopskich huczały odgłosy młocki »łupu-cupu«, a z bliższych dolatywał nawet chrzęst siana suchego, które strzelało w górę z pod bijaków i spadało na boiska. Kura rozgdakała się gwałtownie w chacie Bartkowej Pukaliny. Gdzieś, bodaj czy nie u Ciechońki, dziecko zaparte w chałupie przez nieobecną matusię darło się na całe gardło. Po drodze suchej dudnił turkot wozu pomieszany z wrzawą psów oszczekujących przejazd kogoś

obcego. Parskanie koni, porykiwanie bydła to tu, to tam dawało się słyszeć z oddalenia. A od boru leciało jakieś wołanie ludzkie.

Margiela odetchnęła, zaczęła używać oczu do patrzenia, uszu do słuchania. Świat zmienił się dla niej: została matką, a ludzie przebaczali jej to macierzyństwo — ludzie dobrzy. Spoglądała przed siebie to bliżej, to dalej i nie miała chęci powracać do izby ciemnej, dusznej. Widziała kilka kobiet z grabiami na ramieniu zmierzających ku wsi od pola.

— Pewnie sprzątały łubin nasienny — myślała.

Zdawało jej się, że wśród nich poznaje Nastkę Kołtunównę, dziewkę ogromnie robotną, ale pyskatą. Śpiewały, raczej darły się głośno i wesoło, jak to zwykle na wsi bywa. Przechodziły w bliskości Pomarla i naraz przystanęły przed chatą: zatrzymała je idąca przodem Nastka, dziewka co najmniej czterdziestoletnia, gęba taka cięta, że mało który chłop mógł jej bez lęku dotrzymywać

placu. Puściła ona szeptem jakieś słówko między towarzyszki, które natychmiast zwróciły oczy na wyrobnicę i wybuchnęły śmiechem szalonym. Dopiero Nastka wysuwa się naprzód, podchodzi do Margieli na jakie dziesięć kroków i na cały głos zawołała:

— Ty bezwstydnico jakaś! I śmiesz ty ludziom pokazać czoło?... Ty podła, ty... małpo!

Przytem plunęła z pogardą tak, że ślina padła na twarzyczkę niemowlęcia, które wrzasnęło, jakby oparzone wrzątkiem. Inne dziewki i baby już chichotały, już wykrzykiwały:

— Małpa! Małpa!

Wyraz ten stanowił w Gwoździeńcu obelgę największą dla kobiety.

Margiela z przerażeniem spoglądała wokoło, jak gdyby poszukiwała obrony przeciw tej napaści. Chwilowo nabrała otuchy, skoro spostrzegła w niejakiem oddaleniu dobrą, miłosierną Budzinę. Ale nagła Magda podparła bok jedną ręką, drugą gładziła podbródek, a uśmie-

chała się złośliwie. Znać było, że jej się podoba to upokorzenie wyrobnicy.

W mgnieniu oka świat się zmienił dla Margieli. Skamieniała, stała jak w ziemię wryta: słowo »małpa« niby nóż pchęło ją w serce — zniewaga ostatniego stopnia. Bezmyślnie rzucała spojrzenia błędne już na dziecinę oplutą i płaczącą, już na owe dziewki, które z śmiechem hałaśliwym odchodziły z Pomarla. Tylko Chwytek szczeknął dla zwyczaju parę razy za krzykaczkami odchodzącemi. Na dobitkę do uszu kobiety zgnębionej doleciały słowa piosnki śpiewanej przez Nastkę:

Małpo, płacz teraz na nieszczęście swoje;
Przedtem byłaś sama, teraz będzie dwoje.

Pot zimny wystąpił na czoło wyrobnicy, która uczuwała w sobie ból taki, jak gdyby ją szarpano za serce kleszczami żelaznymi. Szum straszny wichrzył, szalał w jej głowie i o kęs nie padła na miejscu.

Znowu jacyś ludzie wracali z pola

ku wsi i, gwarząc głośno, zbliżali się do Pomarla.

— Pewnie źli, gotowi znieważyć, opluć!

Strach ją zdjął przed nimi. Nie zdołałaby pomyśleć, że ludzie w Gwoździeńcu są dobrzy i nie zrobią jej krzywdy. Śmiech wzgardliwy dziewek pogonił za nią, obelga — również. Wszystko to razem bębniło, syczało w uszach, a świdrowało w sercu rozżalonem.

Rzuciła wzrok wystraszony na ścianę, gdzie widział obraz cudowny. Chociaż widziała tam tylko plamę ciemną, jednak wydało jej się, że Bogarodzica z niechęcią odwróciła oblicze, aby nie przyjąć od niegodnej westchnienia gorącego:

— Pod Twoją obronę uciekam się, święta, Boża... — westchnęła, wcale nie wierząc, że to westchnienie sięgnie do nieba.

— Niepodobieństwo!

Bóstwo odwraca się od takiego, którego ludzie opuścili, podeptali. Człowiek sponiewierany na czci nie może mieć

śmiałości, aby wzniósł głowę ku niebu. On czuje głęboko swą nizkość i jeśli nie znalazł ratunku w sobie samym, nie znajdzie go już nigdzie.

Margiela jak pijana dotarła do łóżka, niedbale porzuciła w barłóg dziecię rozpłakane, usiadła, czuła swoje osamotnienie straszliwe na świecie. Skryła twarz w obie dłonie i rozżalona, pełna smutku, wybuchnęła łkaniem głośnem.

Człowiek pękłby może nieraz, gdyby ból nie spływał ze łzami.

Płakała nad sobą tak gorzko, tak szczerze, że nie słyszała kwilenia niemowlęcia. Bo różne niedole już ją nawiedzały, a nigdy jej jeszcze nie przytłaczało brzemię nieszczęścia tak ciężkiego. Stała się od razu gorszą przez to zetknięcie z złością ludzką i zaczęła mniej kochać dziecko rodzone.

— Po coś ty na świat przyszła?... Wyraźnie na moje i na swoje nieszczęście! Każdy mię teraz nazwie małpą... Nie będę mogła na świat wychylić głowy... Oj, czemużem ja nie... Niktby nie wiedział...

Wypłakała się i z oczyma suchemi, ale z duszą zgoryczoną, rozważała swoją niedolę. Ludzie i przedtem nie dawali jej słowa dobrego, przezywali żmindą, glizdą, kocmołuchem, kostrubaczem; ale przecież nigdy nie zasługiwała na przezwisko małpy, a teraz... Myślała nad tem, że dziewki i baby, towarzyszki Nastki, rozeszły się już po chatach i przy wieczerzy niezawodnie o niej ciągle rozmawiają, a jaki taki powtarza ze wzgardą:

— Bezwstydnica, małpa!

— Nie będę mogła wytrzymać w Gwoździeńcu! Gdzie się ruszę, czeka mię wytykanie palcem, wstyd, sromota ostatnia. Już lepiej byłoby zdechnąć w tej pustce, niż się rzucać ludziom na pośmiewisko.

Teraz nie błagała Bogarodzicy o pocieszenie. Może w poniżeniu, upokorzeniu swojem uważała się za niegodną łask świętych, a może opieka potęg nadziemskich wydawała się jej czczą i bezsilną wobec złości bliźnich. Obelga »małpa« narzucała się uporczywie my-

śli, raziła boleśnie, jak bicz z gwoździem, i Margiela odczuwała tę chłostę dotkliwie, czuła na ciele zgnębienie, ból fizyczny.

— Niewytrzymanie ludzkie! — jęknęła. — I za co? Za co?...

Babisia powiedziała kiedyś do Budziny:

— Margiela jest grzeszna, Bóg będzie ją sądził!

Więc przypominała sobie chwilę życia, w której, podług niej, począł się zapewne ów grzech, całe nieszczęście dzisiejsze. Dziewięć miesięcy i kilka dni temu, umierał Sobek Nawrot, ojciec nagłej Magdy. Boberska, Budzina i inne kobiety nie odstępowały umierającego, a wszystkie tak z sił opadły, czuwając po całych nocach, że wezwano ją, Margielę, jako pomocnicę. Nadeszła ostatnia noc konania ciężkiego i Budzina rzekła do wyrobnicy:

— Jużeś tu nie potrzebna, idź do mojej chałupy i tam pilnuj, żeby kto czego nie ukradł, siedź dopóki Jantek mój nie powróci z miasta!

A Jantek Buda musiał odwozić doktora.

Spełniła polecenie, poszła. Ona także po dwóch nocach czuwania zupełnie z sił opadła, przycupnęła na łóżku, zasnęła bardzo twardo. Miała sen jakiś dziwny... Ocknęła się i w ciemności nocy poczuła, że ktoś obok niej leży, chrapie straszliwie. Skoczyła z łóżka przerażona, uciekła do starej karczmy i nie mogła spać do dnia białego. Myślała, że to jest grzech, z którego trzeba się wyspowiadać. Ksiądz powiedział, że nie sny jeno uczynki, są grzechami. A za to — pewnie za to — nazwano ją dzisiaj »małpą«.

— Skądże się wzięło to dziecko? Po co ono na świat przyszło? Czy moja wina, jeśli Bóg chciał je stworzyć?

Nagle otrzeźwiała, słyszała i płacz dziecka, i cierkanie świerszcza pod nalepą, i wycie Chwytka, który rozczulony krzykiem niemowlęcia, czy widokiem księżyca wschodzącego, ją odśpiewywać smutny hymn psi pod ścianami chaty.

— Cichoj! — mruknęła i tak wzniosła rękę, jak gdyby zamierzała uderzyć małe.

Potem zdarła płachtę z posłania, zawinęła w nią pośpiesznie jakieś łachy stare służące za poduszkę i wetknęła między nie obraz Częstochowskiej. Zarzuciła ten tobół na plecy, a końce płachty zawiązała sobie pod brodą na węzeł. Przeżegnała się znakiem krzyża, wzięła na ręce dziecię, które teraz zasnęło wyczerpane płaczem długotrwałym.

Cisza panowała dokoła pustki Pomarla. Księżyc jeszcze się nie wzniósł wyżej na niebo, jak łuna pożaru gorzał ponad lasami. Margiela przebyła podwórko, skierowała kroki na drogę wiodącą do Woli Lipowej.

Pies leżący podniósł łeb, spoglądał przez chwilę za odchodzącą — namyślał się widocznie, co mu wypada robić wobec tej nocnej wyprawy gospodyni. Nareszcie postanowił: wstał ze śmieci, które wygrzał ciałem, przecią-

gnął się, ziewając, i biegł w derdy za wyrobnicą.

Kobieta dźwigała na sobie ciężar niewielki wprawdzie, ale szła z biedą — często postawała, przysiadała. Była to przecież słabizna już z natury, a przytem po chorobie jeszcze niezupełnie wydobrzała: doświadczała zawrotu głowy, nogi chwiały się pod nią, no i na sercu niosła strapienie, które ją tłoczyło jak kamień. Lazła noga za nogą, postękując, wzdychając.

Chwytek coraz to znikał gdzieś w polach: już ostro pogonił głosem za zającem, już znowu dopadł jamy mysiej, wtykał w nią nos, niuchał i raźno łapami przedniemi grzebał a grzebał. Głodomorek, a i tak miał siły dobre.

U skraju lasu pątnica nasza wstała i oparta o pień sosny odpoczywała przez chwilę, a potem — zwątlona widać, przycupnęła pod drzewem.

Droga zalana światłem księżyca jaśniała bardzo wyraźnie; po obu zaś jej stronach stał bór cienisty, cichy, taje-

mniczy. W głębiach tego boru sowa nawoływała głosem płaczliwym.

— Pójdź! Pójdź!

Kto wie, czy to sowa?

Gdzieś daleko, daleko za lasem, na wsiach którychś psy szczekały.

W górze — niebo zasypane brylantami i brylantowym pyłem gwiazd, na dole — bór ciemny, ponury jak zdrada. Świat cały — taki spokojny, taki zimny! Nigdzie ani znaku współczucia dla nędzarza, który obarczony brzemieniem niedoli, cierpienia, brnie po drodze życia. O, niebo nie dlatego błyszczy od światła, aby nieszczęśliwi czerpali stąd pocieszenie!

Furknęły gwałtownie krzaki jałowców, jak gdyby namiętność rozhukana między nie wpadła. Margiela drgnęła i o mało nie upuściła z rąk niemowlęcia. To Chwytek wygnał zająca z lasu na drogę i popędził za nim jak wściekły. Dzieciątko rozpłakało się na łonie matki, co sprawiło nowy rozgwar wśród uroczystej głuszy leśnej.

— Nie kwicz! — szepnęła gniewnie

wyrobnica i dla uspokojenia wsunęła pierś swą w usta dziecka.

Upiory, strzygi, boginki, topielce, różne duchy złe błądzą w nocy po lesie. Życie ziemskie przenosi ogrom dolegliwości własnych, z któremi kojarzą się nadto plagi nadprzyrodzone. Oprócz tego, wyrobnica obawiała się także zbójów. Zając, który przebiegł jej drogę przed chwilą, z pewnością nie wróżył nic dobrego. Więc płacz dziecięcia mógł łatwo zwabić kie licho.

Napastowana przez obawy, Margiela myślała sobie, że i zdala od ludzi, w samotności nocnej, źle jest człowiekowi biednemu. Uczuwała senność, jakieś omdlenie w całem ciele, a strach nie pozwalał na wypoczynek dłuższy w tym lesie. Postanowiła iść dalej, przebyć ten bór i gdzieś w polu — może na łące pod kopicą siana — doczekać świtu. Cóż kiedy nie mogła powstać: brakowało jej sił, ćmiło się dziwnie w oczach sto funtów ołowiu miała w nogach.

— Oj jej, co się stało!... Czuję tak,

jakbym miała umrzeć za chwileczkę... Dech życia wyraźnie ze mnie uchodzi...

Wtem Chwytek zaczął szczekać na kogoś.

— Pod Twoją obronę uciekam... — poszepnęła głosem cichym i, jakby zdjęta śpiączką nieprzepartą, przytuliła się do drzewa.

Omdlewała stopniowo, było jej jakoś dobrze, błogo w tej bezsilności. Niemowlę znowu się rozkwiliło.

— Cyt, cyt, pi-skla-czku... Nie płakuśśś...

Dźwięki ostatnie skonały na ustach, pochyliła się, usnęła, czy zdrętwiała, a dziecko płaczące z rąk jej wypadło.

Po drodze od Woli Lipowej rozlegał się brzęk łańcuszków uprzęży, leniwy klekot wozu brnącego przez piachy, poparskiwanie koni i odgłos rozmowy prowadzonej przez jadących. Chwytek najprzód oszczekiwał podróżnych, potem wydał skowyt radości, jak to pies robi zwykle, kiedy spotyka dobrego znajomego.

Ktoś z wozu przemówił do niego,

a on odpowiada językiem psim na słowo ludzkie. Bo każdy się raduje, kiedy spotka rodaka na obczyźnie.

— Ciekawe rzeczy, co tutaj porabia ten pies o tej porze? — odezwał się z wozu głos gruby, męski, chociaż kobieta nim przemawiała.

— A ktoby tam dbał o przyczynę tego, że pies chadza do lasu! Zwyczajnie, jak pies, idzie w pole, ruszy zająca, zagoni, a potem łazi, myszkuje po boru. Bestya włóczykij taki wyjada zajączki młode i szlachta później powiada, że chłopi robią spustoszenia w zwierzynie.

Tak przemawiał chłop, który z biczem w ręku kroczył obok wozu, ażeby ulżyć koniom ciężaru w piaskach.

— Ej nie, Marcinie, ktoś taki musi tu być z nim w lesie!... Wydawało mi się przed chwilą coś, jak gdybym w pobliżu słyszała płacz dziecka.

— Przywidziało wam się Agato i koniec! Wóz oto nie nasmarowany i osi piszczą, skrzypią, a nie żadne dziecko. Coby tu dziecko robiło?... Skoro macie

ciągle do czynienia z urodzeniem, to nie dziwota, że płacz dzieci skrzeczy wam w uszach.

Fura, tocząc się powoli, podjechała ku miejscu, gdzie leżała Margiela omdlała i właśnie w tejże chwili dziecię wrzasnęło przeraźliwie.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — rzekł furman zaniepokojony, zrobił ręką znak krzyża, wskoczył pośpiesznie na furę i zaciął szkapy, wykrzykując:

— Wio! Wio!

Konie ruszyły z miejsca żartko.

— Marcinie, stójcie! — wołała Boberska, gdyż ona to właśnie powracała z Woli Lipowej.

— E he! Gadanie!... Wio!... — odparł furman i śmignął po koniach biczem.

Boberska pokazała teraz, że nietylko głosem grubym jest podobna do chłopa, ale i siłą ręki. Porwała się z siedzenia, wyrwała lejce z rąk Marcina i nie zważając na jego opór, powstrzymała konie w pędzie. Najprzód na poczekaniu zmyła głowę furmanowi, potem skoczyła z wo-

zu i pobiegła do omdlałej wyrobnicy, dokąd ją płacz niemowlęcia zawiódł.

— Święci anieli Pańscy! A cóż ta głupica zrobiła najlepszego?... Wybrała się w drogę, miasto leżeć kamieniem... Oj, ciężko może za to zapłacić!

Przyzwała na pomoc Marcina, który mruczał jak niedźwiedź, i dopiero oboje przenieśli chorą na wóz, ułożyli jak najwygodniej.

Niedługo potem, Margiela ciężko chora leżała znowu w swoim kącie na Pomarlu, Boberska zaś prawie do świtania paliła na kominie i pielęgnowała chorą.

III.

— Mówiłam leż, kamieniem leż! Nie usłuchała i teraz musi pokutować. Słabość słabości nie równa. Druga kobieta trzeciego dnia, albo i wcześniej, wstanie, do roboty idzie. Nie przymierzając, Dorota Rudnikowa: bodaj każda tak słabowała! — ubolewała Boberska.

Wyrobnica nie opuszczała teraz łóżka bez mała miesiąc, a pierwsze cztery dni leżała nieprzytomna w gorączce: zrywała się z posłania jak szalona, bredziła nie do rzeczy — była jedną nogą na tamtym świecie. Zawdzięczała babisi powrót do zdrowia; ale babisia nie przypisywała sobie zasługi i twierdziła:

— Inna kobieta ma wzdłuż i wszerz urodę okazałą, nie zbywa jej na wygodach, na opiece, ludzie około niej ska-

czą jak najęci, a nie może się wymigać z takiej cierpoty i... jazda na księżą oborę! Tymczasem ta, kwękaczka przez całe życie, niedojadek z dnia na dzień, cień nie baba, chyba się cudem wylizała.

Boberska cieszyła się również z tego, że choroba matki nie oddziałała szkodliwie na zdrowie niemowlęcia, które, już w pierwszych dniach życia, musiano odżywiać sztucznie.

— Wychowuję to niebożątko na mleku krowiem, na smoczku, w zaduchu, wilgoci, zimnie, a jest toto pulchne, ciałowite, wygląda jak kluch w maśle. Urodził się marny pajączek, a jaki to teraz grubasek!

Niktby nie powiedział, że ta babisia, baba grubej kości, tęga w sobie jak nabił, której się puszczały wąsy na wardze górnej a na brodzie — zarost, miała serce gołębie, czułe na wszelką niedolę ludzką. Z postawy wyglądała raczej na chłopa przebranego w spódnicę, niż na kobietę, a wszystkie cnoty kobiety do-

brej miały gniazdo w jej sercu. Rzekłbyś na rzut oka:

— Oj, zapewne herod-baba, chłopa jak nic przez kij przesadzi!

Bo czoło miała szerokie, twarz ogorzałą i o rysach grubych, brwi nastroszone, grube, krzaczyste, głos chropawy, donośny, męski, oczy śmiałe, bystre. Przeżyła już prawie sześć krzyżyków, a jednak była jeszcze bardzo krzepka.

Ciechoń powiedział o niej:

— Umie nastawiać kości złamane, ale potrafiłaby je i połamać.

Babisia miała niezmiernie trudne zadanie, ażeby postawić na nogi mieszkankę Pomarla. Jeszcze o wiele trudniej przychodziło jej łagodzić umysły niechętne dla Margieli już i tak powszechnie lekceważonej w Gwoździeńcu, a teraz potępionej, wzgardzonej. Trzeba mieć u ludzi powagę, poszanę ogromną, a w duszy — wiele odwagi, ażeby się rozprawić należycie z taką Nastką Kołtunówną, dziewką pyskatą w stopniu najwyższym, ażeby jej wypalić kazanie

za »małpę« i natrzeć uszu, aż pójdzie w pięty. Nastka bowiem należała do rzędu dziewek, które Tomek Ciechoń nazywał »brytanami« i tak się o nich wyrażał:

— Gdyby prawa wychodziły odemnie, posyłałbym do wojska te wszystkie gwałtownice, szczekaczki, jędze i kazałbym im w bitwie iść na pierwszy ogień. Bo skoro takie brytany powychodzą za chłopów, będą się pastwiły nad nimi i robiły we wsi piekło ciągłe.

Nawiasem mówiąc, w Gwoździeńcu, oprócz Nastki, zaliczały się do brytanów dwie dziewki dworskie: Ulina i Maryna.

Ale taka Boberska niewiele sobie robiła z brytanów, jednego razu przydybała Nastkę, wzięła ją za rękę i wręcz po niej pojechała:

— Oso jakaś — powiada jej — zamknij-no sobie na cztery spusty tę gębę roztworzystą, przez którą o włos mały nie wpędziłaś do grobu matki i dziecka! Kłapaczko obmierzła, wiedz sobie, że ugodzić w człowieka językiem

ostrym, zelżywym, równa się nieraz pchnięciu nożem... grzech śmiertelny!... Powiadam ci, że gdybym była taką suką niepowściągliwą w kąsaniu i miała twój ozór wściekły, kazałabym go sobie bez pardonu urżnąć... A ty łazisz po świecie ze swoim jadowitym, czynisz krzywdę ludziom, Panu Bogu sprzeciwę i nie doznajesz najmniejszego wyrzutu sumienia.

Jedna babisia mogła przemawiać do Kołtunówny w taki sposób; każdy inny dostałby za swoje. Prawdę mówiąc, upomnienie nie poprawiło dziewki złośliwej; ale, bądź co bądź, trzymała ona odtąd już lepiej język za zębami.

Oprócz tego, Boberska zjednywała we wsi różne gospodynie, to jest budziła w nich serce litościwe dla chorej i jej dziecka, co — ma się rozumieć — nie było też łatwe. Jedni i ci sami ludzie są raz źli, drugi raz — dobrzy, chociaż złość mniej kosztuje.

Kobieta ze zdaniem, wiedząca, jak i co komu powiedzieć, poradzić, miała

mir wielki u ludzi. Gospodynie gwoździenieckie mawiały:

— O co ją zahaczyć, wszystko udoła wyłożyć jak z płatka i tak utrafi do przekonania, porai w potrzebie, że nie trza lepiej.

A gospodarze dawali się też nieraz słyszeć:

— Ma w głowie rozkład rzetelny, kalkulacyą doskonałą i tem może niejednego chłopa w kozi róg zapędzić.

Otóż, baby schodziły się na Pomarlu w godzinach, kiedy babisia tam przebywała, rozprawiały, robiły bajki, wyzwierzały się jedna przed drugą i było im dobrze. Weszło to w zwyczaj, że Dorota Rudnikowa, Jantkowa, Budzina, Tomkowa Ciechońka, Matuska Palikowa i Bartkowa Pukalina — największa plotkarka, nie przepuszczały jednego dnia, żeby się nie stawić na pogadankę.

Chłopi, którzy krótko trzymali żony, jak naprzykład Tomek Ciechoń, powstawali na takie sejmowanie babskie.

— Co za pożytek ma kto z tego?

Kobiety nie baczyły i precz robiły swoje. Ciechońka podobno raz nawet dostała basy od swojego za to bywanie na Pomarlu a zaniedbywanie chałupy. Nic nie pomogło.

— Leż sobie, leż, wydobrzej, jak się patrzy! — powtarzała Boberska Margieli. — Chwalić Boga, w Gwoździeńcu są jeszcze dobrzy ludzie! Widzisz, najpierwsze gospodynie dbają o ciebie i o dziecinę.

Naturalnie, dzieła miłosierdzia były tu na porządku dziennym. Baby zaopatrywały wyrobnicę w środki do życia, a gdy jedna dała, druga się nie cofała, gdyż nie chciała być gorszą.

Trudno opisywać wszystkie rozmowy, które tam prowadzono. Pierwsze lepsze zdarzenie we wsi dostarczało wątku do uwag, rozpraw, trwających parę godzin. Bartkowa Pukalina zawsze miała zapas wiadomości bardzo ważnych, ciekawych. Częstokroć i tego nie było potrzeba, gdyż materyał do rozmowy znalazł się na miejscu. Naprzykład, wchodzi do izby Mikołajek,

a za nim wciska się Chwytek. Chłopak wpatruje się w maleńką dziewczynkę, jak w obraz i powiada:

— Babisiu, czy to tę Margielkę bociek przyniósł na Pomarle?

— Jużci przyniósł, synku, przyniósł! Musiał przynieść... — odrzekła Boberska, zbywając malca.

— Ee, ja temu nie wierzę! Boćków tu już wcale nie było, kiej Margielka na świat przyszła...

Wszystkie baby obruszyły się na to powiedzenie.

— Raku jeden, będziesz ty nie wierzył temu, co ci ludzie starsi mówią? — powiedziała poważnie Budzina.

— Cie go, jaje chce być mędrsze od kury! — zawtórowała Rudnikowa.

— Wara ci rozprawiać o takich rzeczach! — fuknęła Ciechońka zgorszona.

— Pamiętaj, smarkaty jakiś, że skoro kobiety stateczne mówią »bociek przyniósł«, to musiał przynieść! — wywoływała Pukalina i, patrząc chłopakowi w oczy, zapytała:

— A cóżeś ty, zbereźniku, myślał?... Gadaj!

— Słyszane rzeczy, żeby bąk taki, co jeszcze nie odrósł od ziemi, wdawał się w jakieś takie rozmowy! Niestatku jeden, nie godzieneś ty, żeby ci zajrzeć, skąd nogi wyrosły? — mówiła Palikowa.

Każda od siebie dawała mu naukę i Mikołajek uchodził z izby jak zmyty, za nim Chwytek, który tam poobwąchiwał wszystkie kąty. Dopiero na progu chłopak mruknął:

— Myślą, że wmówią we mnie tego boćka... oho!

Kiedy wyszedł, Boberska przemówiła:

— Powiadam szczerze, moje gospodynie, że i ja w małości swojej takżem nie wierzyła, żeby bociek przynosił dzieci.

— A ktoby tam wierzył! — odezwała się Rudnikowa, która miała dwanaście dziatwy. I z oburzenia świętego kobiety przeszły do śmiechu.

Innym razem rada ogromna była na Pomarlu, kiedy jednego dnia przybie-

gła Budzina wzruszona i opowiedziała zebranym, że jej kokoszka czarna zginęła. Przedewszystkiem chodziło o wyświetlenie, kto jest sprawcą kradzieży.

Zaczęto od rzucania podejrzeń na tchórza, jako najbardziej osławionego złodzieja drobiu. Ale, że Pukalina pragnęła usilnie mieć zdanie własne niezależne, więc widziała winowajcę w jastrzębiu, który »ułowi gołębia w powietrzu, nie dopiero kurę na ziemi«.

Teraz każda pragnęła wystąpić z przekonaniem osobistem i Palikowa opowiedziała barwnie, że chłop jej wczoraj o zmroku spotkał pod lasem lisa, co mogło być w związku ze zniknięciem kury, o ile ów lis i do wsi zawitał. Wynikła z tego sprzeczka, która stopniowo zaogniała się coraz więcej i mogła sprowadzić zerwanie stosunków przyjacielskich między obradującemi. Jednakże Boberska zażegnała burzę w samą porę, dowodząc zwaśnionym babom, że bez względu na to, po czyjej stronie jest słuszność, Budzina straciła kurę, a rozstrzygnięcie sporu wcale się

nie przyczyni do odzyskania straty. Pukalina, mocno niezadowolona z takiego obrotu sprawy, puściła szeptem między gospodynie domysł nowy, że jest we wsi »chłopaczysko psotne, który się wspina na topole, łazi po dachach, nie wierzy starszym, kiedy mu co mówią... Taki gotów nie poszanować i kury gospodarskiej«. Podejrzenie to widocznie dotyczyło synka babisi.

— Chłopak zepsuty do szpiku kości.

Margiela z namaszczeniem słuchała rozmów, prowadzonych przez powagi i wyrocznie gwoździenieckie. Nie ośmieliła się nigdy wtrącać do tych rozpraw, wyrabiała sobie tylko przekonanie, że gospodynie owe mają dużo rozumu, są ogromnie »stateczne«. Zdawało jej się — może się tylko zdawało — że wszystkie, a głównie Budzina pogardzają nią i za nic mają; a przecież schodziły się w jej domu.

Nazajutrz nagła Magda wpadła na Pomarle ze łzami w oczach, obwieszczając stratę kokoszki białej. Znowu domysły, podejrzenia, zgiełk między ba-

bami. Aż tu trzeciego dnia Budzina załamuje ręce, rwie włosy na głowie, ogłasza, że jej zginęła kokoszka jarzębatka — cudo śliczności. Kobieta w rozżaleniu i nagłości swojej posunęła się aż do oskarżenia przynoszącego ujmę w czci całemu otoczeniu.

— Gotowam przysiądz na zbawienie duszy, że mię tu któraś krzywdzi przez zazdrość!

Rzuciła te słowa z ogniem niezmiernym, spojrzała nieufnie po zgromadzeniu i wyszła trzasnąwszy drzwiami.

Baby spoglądały teraz jedna na drugą, jak gdyby się wzajemnie obwiniały o kradzież kokoszek. Pukalina, najpochopniejsza do podejrzeń, szepnęła coś na ucho Rudnikowej, która podała to Palikowej. Potem wszystkie spojrzały na Ciechońkę i Ciechońka spłonęła, a może im się tylko przywidziało, gdyż ta gospodyni była zawsze czerwona jak ćwikła. Nie mogły już dłużej rozmawiać otwarcie i poszły do domów.

Budzina tymczasem, porwana nagłością, przybiegła do chałupy, zwołała

przed próg kury, porachowała je dwa razy dla pewności lepszej.

— Niema — powiada — niema!

Żalem zdjęta, skoczyła do męża, który z fajką w zębach majstrował coś spokojnie około wozu na podwórku.

— Jantek! — krzyknęła ostro. — Chyba ty nie widzisz, co się dzieje u nas w chałupie!

— Któż ci powiedział, że nie widzę?... Straciłaś kurę... wielgie rzeczy!

— Straciłam, a tyś chłop malowany i jak z drewna! Żeby cię też odrobineczkę obeszło!

Miała już chęć wielką zakląć, wywrzeć na chłopa żal i złość, kiedy niespodziewanie wpadła między nich Janowa Sowina zadyszana i tak mówiła:

— Kole się zguba wasza, Magdaleno, kole! Poszłam oto z motyką do dołów, ażeby ukopać gliny i oblepić chałupę przed zimą, naraz słyszę w niedaleczkości jakieś chrupanie... Idę, spojrzę... pies srokaty z Pomarla, sobacza, zajada się kurzyną. O rany, mówię, rychtycznie żre w najlepsze jarzębatkę Jantkowej!

Frygnęłam nań bryłą, a on psia-dusza warknął, warknął, pokazał mi zębce!

Nagła Magda, jak gdyby żarem na nią sypnął, chwyta podkólek od wozu, pędzi ku dołom, co może wyskoczyć, za nią zaś poderduje Jantek z widłami.

W samej rzeczy, Chwytek pożerał jarzębatkę; ale już właśnie dogryzał kostkę ostatnią, kiedy ujrzał babę uzbrojoną w podkólek i zmiarkował, co mu zagraża. Powstał natychmiast z pyskiem zakrwawionym, oblepionym w pierze jarzębate, zadarł ogon i dobrym truchtem biegł w pola, zerkając niekiedy poza siebie gwoli ocenienia stopnia niebezpieczeństwa ze strony pogoni — wyraźnie lekceważył babę.

— Leć-że za nim w te pędy, pokrako, dogoń i uśmierć psia-duszę! — wołała na Jantka Magda zziajana, wściekła.

Chłop ruszył teraz w skok, aż ziemia zadudniła. Pies też spuścił ogon, wesoło dotąd zadarty i jak strzała gnał przez zagony, migając srokaciznę.

— Zwierz zawdy jest chybszy w no-

gach niż człowiek — rzekł Buda, przystając, zmachany pościgiem.

Nikt nie wiedział, że na kalenicy Pomarla stał Mikołajek przytulony do komina i z uśmiechem zadowolenia śledził pogoń i ucieczkę.

Ciechoń powiedziałby:

— Pies nie może żyć Bożą manną, a wybierając jedno z dwojga, woli ukraść niż zdechnąć.

Mikołajek, sam chłopak żerty, skąpo się dzielił z Chwytkiem pożywieniem, chociaż ciągle go pobudzał do hasania wyczerpującego siły. Z chaty zaś, do której pies miał przywiązanie niewolnicze, rzadko kiedy co kapnęło.

Kury Budziny, jak wiadomo, były to ptaki pieszczone, spoufalone do ludzi, zuchwale śmiałe względem zwierząt czworonożnych. Rzucały się one w oczy psu zgłodniałemu jako zdobycz bardzo łatwa. Panie podwórka, niechętnie schodziły z drogi psu, krowie, koniowi, będąc czemś w rodzaju ptaków świętych. Otóż, Chwytek wpadał znienacka do obejścia gospodarskiego, bez wysiłku

chwytał w zęby pierwszą lepszą kokoszkę, pędził z nią w doły gliniane i tam zaspakajał głód w cichości. Nareszcie zdybano ptaszka na gorącym uczynku.

Teraz nagła Magda zaklęła od siarczystych, postanowiła wywrzeć zemstę na właścicielce psa, Margieli, a może i na jej opiekunce, babisi.

— Od czasu, jak to wymokłe dziewczysko wlazła mi tu pod bok za sąsiadę, ciągłe mam kłopoty... Sama sobie odejmuję od gęby, wynoszę na to zatracone Pomarle mleko, jaja, chleb, masło, różności... Mam zapłatę za swoje dobre serce! Dam ja tobie, dziadowskie nasienie!

Rozjątrzona, ponsowa od gniewu, z oczyma zaiskrzonemi zjadliwie, jędza czysta, wpadła do Margieli, narobiła piekła strasznego. Przypięła się głównie do chorej wyrobnicy, zmieszała ją z błotem — wyglądała jak lew, który się pastwi nad myszą. Trejkotała nad nią, pieniąc się, wykrzykując, co tylko ślina do ust przyniosła. Wyrobnica ze stra-

chu skryła głowę pod płachtę, zagrzebała ją w barłogu, szlochała głucho, a Budzina ciągle wyjeżdżała z »małpą« i innemi najgorszemi przezwiskami. Z boku dostało się też Boberskiej, kiedy Jantkowa, lżąc Margielę, wykrzykiwała:

— Dufasz w to, małpo jedna, że cię tu jaka rajfurzyca zasłoni!

Zawołała nareszcie:

— Bodaj jasne pioruny spaliły to Pomarle przeklęte!

Już nie mogła dłużej kłapać, ochrzypła, sił jej zabrakło. Ryknęła teraz, wybuchnęła szlochaniem, zalała się łzami.

— O ja, nieszczęśliwa kobieta!

Babisia spokojnie przystąpiła do niej, łagodnie wzięła ją za obie ręce i rzekła dobrodusznie:

— Chwała Bogu, ustały grzmoty, błyskawice, już tylko deszczyk rosi!.. Widzę, moja Jantkowo, że was boli serce i nie dziwię się temu. Żadna gospodyni rzetelna nie może być lepsza w takim przypadku; a każdy, kto zna wasze kury, wie, że są godne żalu. No, ale

Bogiem a prawdą, żal, choćby największy, nie wróci wam przecież zguby. Przytem zastanówcie się, moja Magdusiu, powiedzcie szczerze, jakeście kobieta sprawiedliwa we wszystkiem, w czem tu Margiela jest winna waszej krzywdy?

— Kto psa chowa przy domu, musi zań odpowiadać! — odburknęła popędliwie. — Gdybym poszła na sądy, prawo za mną będzie.

— Dobrze! — rzekła babisia. — Przez wasze usta fałsz i bzdurstwo głupie nigdy nie przejdą: wybyście się tem udławili... Tylko przypomnijcie sobie nieboszczyka Bartka Główkowicza, który przed niedawnym czasem zmarł na Pomarlu... Panie, świeć jego duszy! Czy wy, gospodyni mądra i dobra, możecie czuć najmniejszą urazę za tego Chwytka do nieboszczyka Główkowicza?

— Ja też nie czuję urazy do niego.

— A przecież pies należał do niego i nikt inny teraz go nie posiada! Macie w głowie zastanowienie ogromne i nie potrzebuję wam mówić, że ta Mar-

gielisko sama nie może wyżyć... gdzieżby ona i po co psa utrzymywała?... Jużcić byłoby lepiej, ażeby ówten pies nicpoń zdechł był albo się kajbądź zawieruszył: nie miałybyśmy dzisiaj takiego utrapienia. Ale skoro on za wolą Bożą żyje, ma do chałupy swoje psie przywiązanie, pewnie przez pamięć na nieboszczyka, to mu jeno trza dać naukę porządną, ażeby gałgan odwykł od kur raz na zawsze!

Boberska wypowiedziała to wszystko głosem, którego już sam spokój działał na Magdę uśmierzająco. Margiela słuchała owej rozmowy z zachwytem niezmiernym, widziała, że pod tym wpływem słowa Budzina dopiero co rozszalała mięknie, staje się cicha, dobra.

— Pan Bóg drugiemu człowiekowi daje taką zdatność! — myślała wyrobnica, której twarz wyrażała uwielbienie najwyższe dla babisi. Bo przecież jej nigdyby do głowy nie przyszło, że ten Chwytek należy do nieboszczyka Główkowicza.

— Prześlicznie!

Boberska odchrząknęła, odsapnęła i, ściskając w swoich dłoniach ręce nagłej Magdy, tak mówiła w ciągu dalszym:

— Przecie nie wy, nie ja, nie Margiela, będziemy karciły szkodnika dusikurę. Kara przykładna koniecznie musi wyjść z ręki chłopa. My baby mamy serce miękkie, wzruszliwe, nakłonne do litości, do czynienia ludziom dobrze, do opieki nad dziećmi... Cóż ja wam będę dowodziła, kiej sami z siebie najlepiej wiecie!

Magda westchnęła na wspomnienie dzieci, pomyślała, że z rozkoszą przycisnęłaby maleństwo do serca. Spojrzała z niejaką czułością na maleńką Margielkę, wpatrywała się w dziecko śpiące. Pod wpływem myśli o macierzyństwie twarz jej wyłagodniała, wypiękniała, ręka mimowolnie wysunęła się z dłoni babisi i poczęła gładzić podbródek, który białością odbijał od bicza korali.

— Wasz Jantek — kończyła Boberska — chłop setny, daj mu Boże zdrowie najlepsze, pewnie przyłoży rękę

gospodarską, sprawi psu basarunek... a wara ci od kur, wara! I po wszystkiemu! Chciałam wam, Magdusieńko, powiedzieć to jedno, a teraz dorzucę jeszcze drugie...

Mówiąc to, babisia prowadziła Budzinę ku drzwiom i szeptała jej na ucho:

— Złoto moje, zapamiętaj sobie, że kobieta, która wpada w popędliwość, zapala się ogniem złości, nie może zostać matką. Sumiennie wam to powiadam.

Wyszły za próg, prowadząc się pod ręce. Nagła Magda spojrzała z niepokojem w surową twarz i mądre bure oczy babisi, westchnęła i rzekła głosem smutnym:

— Akurat w zapusty sześć lat minie, jak się pobraliśwa z Jantkiem, wesele nasze było na świętą Dorotę... To już pewnikiem do końca życia nie będzie żadnej pociechy.

— Na wiatr gadanie takie! — zawołała Boberska, wstrząsając ręką Magdy.

— Oj, wiem ja, co mówię! — odrzekła Budzina tonem żałosnym.

— Cóż takiego się stało?

— Ee, wieleby o tem mówić, moiściewy!

— Jak nie powiecie mnie, com oddana wam sercem, to komuż?

— I to prawda, jeno mi coś nijako, ile że Jantek...

— Hm, z chłopami zawdy mamy biedę. Pewnie co przeskrobał, hę?

— Nie, nie! Tylko, widzicie, od jakiegoś czasu zwydrzył mi się... Coraz więcej stroni od chałupy i...

— Może wy mu doskwieracie, suszycie głowę? Chłopom to okrutnie nie lubuje.

— Gadacie tak, babisieczko, jakbyście mię nie znali... Jabym mu nieba przychyliła, cóż kiedy widzę w nim teraz mało dbałości o dom, o babę.

— Kiedy tak, to wpadnę do was którego czasu, pogwarzymy, a trzeba, żeby i Jantek należał do rozmowy.

Oczy Magdy błysnęły zadowoleniem.

Teraz ścisnęła ona rękę babisi, nachyliła się ku jej uchu i rzekła:

— Spełnicie dobry uczynek, jeżeli mu tak z boku od siebie powiecie parę słów prawdy.

— Mnie nie wadzi, mogę z nim pogadać i na cztery oczy.

Budzina zupełnie wychłodniała, wydobrzała na sercu, na twarzy i jeszcze tego samego dnia przyniosła Margieli kaszy jęczmiennej, śliw suszonych, a dla dziecka..... garnuszek mleka niezbieranego. Wyrobnica zdziwiła się niezmiernie, kiedy Jantkowa pierwszy raz zaczęła z nią rozmawiać, jakby z swoją równą, a dziecku przyglądała się, darzyła je pieszczotą.

— Widzisz — mówiła potem Boberska do Margieli bardzo wzruszonej — w Gwoździeńcu są jeszcze dobrzy ludzie: biedak, czy sierota, nie zginą tutaj.

Chora zamiast odpowiedzi, pochwyciła rękę babisi i składała na niej pocałunki równie szczere jak głośne.

— Za co mi dziękujesz? Dziękuj ludziom, którzy ci świadczą dobrze, a mo-

że myślą jeszcze o czemś lepszem! Toć ja, ubóstwem bez mała równa tobie, nie zrobiłabym nic dobrego na świecie, gdyby nie ludzie dobrzy, możni a chętliwi.

Tymczasem nagła Magda, trapiona obawą, ażeby Chwytek nie pokusił się o wyduszenie kur pozostałych przy życiu, odbyła naradę z swoim Jantkiem.

— Musisz zrobić porządek z tym hyclem! — mówiła. — Zepsuj mu skórę tak, żeby na widok kury zmykał jak najdalej!

Buda wysłuchał spokojnie zalecenia żony, a w głębi duszy myślał:

— Nie koniecznie przystoi gospodarzowi statecznemu uganiać się za psami.

Ale poza tem przekonaniem i poczuciem godności osobistej istniały też pobudki popychające chłopa w kierunku życzeń żony. Przedewszystkiem spokojny Jantek i bał się gorącości żony, i nie umiał jej nic odmówić, i widział w niej doskonałość chodzącą. Bywało

podpije sobie, przekręca kapelusz na ucho, wykrzykuje z chlubą:

— Świat zjechać i nie znaleźć drugiej takiej jak moja!

Choć mu nieraz setnie dokuczyła, nie dawał poznać po sobie, że go to korci.

Oprócz tego, Buda miał do Chwytka, że tak powiem, niejaką urazę, gdyż po śmierci Główkowicza chciał przyjąć psa na służbę do swego obejścia i doznał zawodu. Chwytek wyglądał w oczach Jantka coś jak parobek, który bierze zadatek, a nie stawia się do służby. W dzień łasił się, przesiadywał w izbie, zwłaszcza podczas śniadania, obiadu i wieczerzy, zjadał ochłapy z rąk gospodarza i gospodyni, a kiedy nadeszła noc, uciekał na stare śmieci i szczekał, wył na Pomarlu — nijak nie dawał się przekabacić.

Trwało to pewnie z miesiąc, aż nareszcie dostał w kark polanem, piętą w podogonie i poszedł precz na cztery wiatry. Więc Buda, ażeby dogodzić babie, a po części i zadowolić swą niechęć dla Chwytka, wbrew poczuciu go-

dności gospodarskiej, zaczął łazić za psem z postronkiem w zanadrzu, z wicią tęgą pod sukmaną.

Chodziło o to, aby pojmać szkodnika na powróz, a podstawiwszy mu pod nos kurę żywą, zerżnąć dudy, ile wlezie. Jednak pies, choć jeszcze młodziak, był wyga, zwąchał pismo, przeczuł, co go czeka. Mając sumienie obarczone morderstwem trzech kokoszek, stronił od gospodarza, zmykał w pola, wałęsał się po wertepach, czasem wyłaził na strzechę chaty Pomarla i wypatrywał, gdzie przebywa Buda prześladowca. »Okrutnie mądry psia dusza! Ani go zejść znienacka ani zwabić żarciem nie można. Bierze się na wybiegi, jak gdyby wiedział, co go czeka«.

Rzekł raz do baby Jantek, który poniekąd zapalał się do tego polowania.

— Taki też i chłop z ciebie, lada psu nie poradzisz! — odparła Magda z przekąsem i goryczą w głosie.

— Poradzić ja mu poradzę wcześniej czy później. Raz musi mi się przecie w garść dostać.

— Oj ty, ty, ty... niezdaro! Nie mówię ja prawdy, żeś do niczego?

Woda podobna do kawy czarnej ściekała ciurkiem z obleczenia, z włosów Budy, który cmokał wargami, spluwał przed siebie, klął pod nosem:

— Dyabli nadali taką robotę zatraconą!... Przecież ja nie hycel, żebym psy zbijał!

— Uuuu! Mazgaju! Kiejem wychodziła za ciebie, nie miałam przeczucia o twojem ślamazarstwie. Trzeba na to mojego serca dobrego, żeby znosić takiego ciemięgę.

— Serce masz, jenoś głupia! — warknął Jantek zniecierpliwiony i wzburzony jak nigdy jeszcze. Otrząsnął się na sposób psa staplanego w wodzie i biegł do chałupy, aby zmienić obleczenie.

Ostro się w domu przemówili z sobą; ale słowo babskie, jak zwykle, zostało i teraz na wierzchu.

Swoją drogą Magda była markotna, że ta niemiła przygoda męża znowu na Pomarlu miała przyczynę.

Nazajutrz odwiedziła Pomarle i tak; tylko stroiła dąsy, nie witała wyrobnicy, odwracała od niej oczy z niechęcią. Za to ciągnęło ją coś do niemowlęcia: wzięła je na ręce, tuliła do siebie, cackała się z niem nieustannie.

Jantek miał teraz do psa zawziątek jeszcze większy, gdyż w dodatku do tego, co go spotkało, postronek, krowiak nowiuteńki, zginął gdzieś z szyi Chwytka.

— Każdy weźmie rzecz użyteczną, kiej widzi, że wziąć można.

Było to zdanie Tomka Ciechonia.

Bartek Pukała wmawiał w Budę, że psy inne mogły po prostu zdjąć postronek z szyi Chwytka.

— Na własne oczy widziałem — mówił — jak małe szczenięta zębami ściągały obrożę z szyi mojej Finki. Stare psy mają pewnie jeszcze więcej rozumu.

Krowiak prawdopodobnie dostał się w ręce Pukały, sąsiada, o którym Ciechoń powiadał:

— Tego człowieka można wrzucić

nago w najgłębsze głębiny wody, a on wypłynie w kapeluszu, sukmanie, w pasie kowanym, w butach z podkówkami i będzie miał jeszcze kilka złotych w kieszeni.

IV.

W ostatnich czasach chałupa zaczynała mierznąć spokojnemu Budzie i pierwszy lepszy powód do ucieczki z domu bywał chłopu bardzo na rękę. Nagła Magda bowiem kochała wprawdzie męża, ale, zwyczajnie, jak kobieta, właśnie przez kochanie stała się dokuczliwą. Ilekroć oboje znaleźli się sam na sam, ona skrzeczała mu nad głową, przewodziła, zawsze miała coś do zarzucenia, a wszystko to z miłości.

— Gdybym nie miała dla ciebie serca, nie puściłabym pary z gęby.

Kobieta krewka, ognista, przytem kochana i kochająca, wnet doszła do przekonania:

— Wszystko mi wolno!

Uważała męża za swoją własność,

z którą mogła robić, co się podoba. Chłop dobroduszny, pobłażliwy, ciężkawy, bardzo się nadawał do tego. Wnet wzięła na się rolę nauczycielki i usiłowała wychowywać potulnego małżonka podług swego widzimisię. Cóż kiedy im bardziej on był powolny i uległy, tem więcej ona wymagała.

Dzieje zwyczajne przerobienia mężczyzny na pantofel.

Otóż, Magda robiła się codziennie przykrzejszą w swem kochaniu, a Jantek, chociaż zawojowany, chociaż szczerze miłujący babę, wolał jednak być od niej z daleka i coraz częściej uciekał z chałupy.

— Kobieta śliczności, cnotliwość chodząca i w głowie ma dobrze; jeno dogryza człowiekowi coraz więcej, sekuje, szuka dziury w całem i łata, gdzie nie trzeba. Żebym ja na głowie stawał, nie dogodzę!... Tyle spokoju mego, co za domem.

Myśli mniej więcej takie oblegały Budę, kiedy uciekał od żony i wynaj-

dywał sobie zajęcia poza chatą. Wyłgiwał się przed babą:

— Robota pilna na mnie czeka! Nie mam ani chwilki czasu.

Już to, już owo; a skoro tylko wyrwał się z domu, szedł na pogwarkę do kuźni, do Bartka Pukały albo zakładał szkapy do wozu i, chociaż nie było potrzeby, jeżdżał do miasta, do lasu. A nie, to znowu dłubał co w stodole, uganiał się za Chwytkiem. Parę razy przychodziło mu nawet do głowy, ażeby przycapić gdzie Mikołajka i spisać mu uczciwie skórę.

— Chłopaczysko zbereźnik nie ma ojca, przydałaby mu się nauka za to łażenie po dachach, wspinanie się na drzewa. Możeby przytem wyśpiewał, gdzie jest mój krowiak.

Gdyby nie babisia, opiekunka chłopaka, z którą nie wypadało zadzierać, Jantek w braku innego zajęcia sprawiłby Mikołajkowi basarunek.

Budzina widziała, że chłop dziczeje, trapiła się, usiłowała zwrócić go na do-

brą drogę i dawała mu się jeszcze lepiej we znaki.

— Jabym nie postawiła na swojem? A żeby też tam nie wiem co, musi się zlepszyć, poprawić!

Chciałaby przywiązać męża do domu, pogadać z nim o tem, o owem, mieć w nim na każde zawołanie przyjaciela wiernego, gotowego do usług, któryby zgadywał jej myśli. Ona tak sobie tłómaczyła święty sakrament małżeństwa. No, a Jantek nie lgnął do chałupy, wyraźnie szukał innych przyjaźni, zdawał się nie rozumieć, kiedy mu baba dowodziła:

— Mąż i żona, to jedna dusza w dwóch ciałach!

Sądziła, że go zniewoli nareszcie upomnieniami do ugrzęźnięcia w słodkich rozkoszach ogniska domowego.

— Gdzież tobie, człowiecze, może być lepiej niż w chałupie? Czy ty możesz znaleźć na świecie przyjaciela szczerszego nad swoją kobietę? Jakto, więc dla ciebie więcej znaczy taki ko-

wal Płatkowski, obieżyświat, albo Pukała, łgarz i krętacz?

Chłop zaledwie otarł gębę po śniadaniu, czy po obiedzie, już się zabierał do wyjścia, mówiąc:

— Oj, okrutnie mi pilno, nie mam ani chwileczki czasu!

— Powiedzże sprawiedliwie, czym ja się dlatego z tobą związała, ażeby nie mieć męża?... Borsuku jeden, masz ty czas na wszystko i dla wszystkich, tylko ci brakuje dla kobiety!

Nic jej nie odpowiadał, ale potajemnie myślał:

— Strawa spożyta pewnikiem nie wyszłaby mi na zdrowie, gdybym tu Magdzie dotrzymywał placu.

Łatwiej mu już przychodziło wysłuchiwać owych kazań po zjedzeniu wieczerzy, gdyż wtedy sen go zawsze morzył. Chłop kipiał, kiwając się na wszystkie strony, drzemał na ławie w kącie ciemnym. Baba zaś w terkotach nieustannych krzątała się po izbie, robiła porządki i roztrząsała sumienie śpiącemu:

– Dobrze mi mawiał nieboszczyk tatuś: Magda, co ci tak pilno wyjść za chłopa? Rozpatrz się, dobierz sobie człowieka po swojej myśli!... Tyś mię przecie przypilał, co tchu ciągnął do ołtarza. Nie miałam czasu najmniejszego na zastanowienie się... głupia, niewinna dziewczyna... Teraz dopiero wylazło szydło z worka i kole.

Buda, jeżeli nie spał, zawsze w milczeniu słuchał takich nauk, ćmiąc fajkę, a rzadko kiedy odmruknął jakie słówko. Z natury już był małomówny, powolny. Przytem bał się zabierać głosu, usprawiedliwiać, gdyż nagła Magda nie cierpiała sprzeciwy, wpadała natychmiast w swą nagłość i wtedy traciła wszelkie pomiarkowanie.

Jantek dobrze płacił za to, że ją kochał.

Zdarzało się, że mąż wcale nic nie mówił, nawet w takim razie, kiedy pytanie żony koniecznie wymagało odpowiedzi:

— Gdzieżeś się włóczył?

— Coś robił?

— Z kimżeś tam dziś znowu trzymał kompanię?

Odpowiedź, choćby najrzetelniejsza, mogła się nie spodobać babie, o czem on doskonale wiedział z doświadczenia. Szczególniej, jeżeli wypił jeden, drugi kieliszek — a lubił od czasu do czasu z przyjacielem — to już z pewnością pary z ust nie puścił, a Magda mogła mu ciosać kołki na głowie.

I to bywało, że Jantek siedzi w kącie jak trusia, słucha marudzenia z cierpliwością ogromną, a jej się już ten spokój chłopa nie podoba.

— Cóżeś za człowiek taki! – wołała pewnego razu. — Żebyś też pokazał kiedybądź odrobinę serca i pociągnął kobietę za serce!... Najwyżej burknie coś półgębkiem jak niedźwiedź! Czyżem ja w twoich oczach niegodna dobrego słowa? Dolaż moja dola wyżyć z takim checiakiem, grondalem! Zastanów się, człowieku, żem ja przecie nie żadna flondra, małpa, nie ciągnęłam cię gwałtem do ołtarza! Wyskamlałeś mię, córkę gospodarską, u rodziców, poprzy-

siągłeś mi dobrowolnie i sterałeś moje lata młode. Oj, żebyś był trafił na inną, miałbyś ty, czegoś jest godzien i poznałbyś powinność swoją! Trzeba tylko mojego serca miękkiego, cierpliwości anielskiej, ażeby znosić przez tyle lat takiego chłopa.

Jantek czasem aż się zaroił, aż mu w pięty poszły te przycinki, wówczas zaklął albo się słowem jakiem tak odciął, że baba zasyczała ze złości. Ale zwykle Magda umiała go upokorzyć, zrobić z niego owieczkę, wmówić weń, że jest nicponiem ostatnim i on sam nieraz w to uwierzył.

— Przeskrobałem niejedno... Co prawda, to prawda! Nie warłaby tak na mnie przecie bez prawa, bez kozery.

Zmuszał się, dosiadywał w izbie, chciał jej wynagrodzić swoją rzekomą niegodziwość i nareszcie zmykał, wynosząc mocne przekonanie, że tak, czy inak, nie może z nią wytrzymać.

Innym razem Budzina, zniecierpliwiona upartem milczeniem Jantka, ska-

kała mu zapalczywie do oczu, wykrzykując:

— Wolałabym sto razy, żebyś się rozsierdził jak chłop, fuknął, zwalił mię nawet, zbił, niż był takim mrukiem, gułajem, słyszysz?

— Zwalił? Zbił? — pytał chłop zdziwiony. — Święte rany Pańskie! Co ci się, kobieto, w głowie troi?

Po pierwsze, nie ważyłby się nigdy, przenigdy trącić tej baby umiłowanej, Magdusi ślicznej jak malowanie — krew z mlekiem. Pamiętał, że tatuś bijał matusię, widywał chłopów karcących czynnie swoje kobiety; ale on nie posunąłby się tak daleko. Powtóre, wiedział dobrze, że gdyby się tylko zamierzył, podniósł rękę na tę nietykalną Magdę, oj miałby się spyszna! Jezus Marya, Józefie święty, coby to było!

Uśmiechnął się sam do siebie z zadowolenia, szczęśliwy, że nic podobnego nie zaszło.

Żona jednak inaczej pojmowała ten jego uśmiech.

— Jantek! — wrzasnęła zaindyczo-

na. — Ki palarusz cię opętał? Za nic mię nie masz, widzę, czynisz sobie wręcz pośmiewisko z tego, co ja tu mówię! Widzicie ludzie, i ja muszę wytrzymać, żyć pod jednym dachem z tym capem!... Ni ja opieki, ni pociechy, ni wyręki najmniejszej nie mam w domu, a w dodatku muszę jeszcze znosić natrząsanie!

Z temi słowy, cała w ogniu, chwyciła go za rękaw sukmany, tarmosiła jak szalona i wołała:

— Po tem, coś zrobił, zabij albo przeproś pięknie, jeżeli chcesz widzieć mię żywą!

Buda nawpół w strachu, nawpół w gniewie, żachnął się, mówił:

— Kobieto, opamiętaj się, nie bądź głupia! Czego się po próżnu burzysz? Przecie mię nie wyciągniesz na bijatykę, jestem spełna rozumu.

Wyrwał się z jej rąk i uciekał w pole, zostawiając w domu sapiącą ze złości, zaperzoną babę, która potem w płacz uderzyła i to ją uspokoiło.

— Zachodzę w głowę, a nie mogę

nijak zmiarkować, czego ona chce ode mnie. Tomek Ciechoń może i prawdę mówi, że lepiej mieć troje dzieci niż jedną babę. Babisia znowu ciągle powtarza: Postarajcie się o dzieciątko, a będzie wam dobrze jak w niebie... Dzieciątka nie wytrząsnę przecie z rękawa... — mówił Buda sam do siebie.

Takie było pożycie małżeńskie tej pary ludzi, którzy, podług urody, dobrali się jak najlepiej. On — chłop rosły, tęgi w barach, mógłby podpierać stodołę, rumiany na policzkach, z czupryną jak szopa, z oczyma niebieskiemi. Nic go to nie szpeciło, że ponad brwią prawego oka miał skazę, szeroką plamę czarną, porosłą włosami. Ona, smukła; wcięta w pasie — chociaż ostatnimi czasy zaczynała nabierać tuszy, na twarzy róża z lilią, czarnobrewa, z oczyma jak chabry najpiękniejsze. Nosiła się strojnie, nawet przy robocie ciężkiej czystość jaśniała z każdej jej szmatki — kobieta śliczności.

Ciechoń, widząc raz Magdę idącą do kościoła, rzekł:

— Łania! Oo, taka może chłopu zalać sadła wrzącego za skórę! Człowiek nie miałby sumienia, żeby ją trącić.

Dziś wojna, jutro pokój najmilszy. Każdy rozumie, że Jantek i Magda nie tylko w swarach spędzali życie: miewali oni swoje chwile szczęścia rzetelnego, które im zapewne wynagradzały wszelkie nieporozumienie.

Od życia nie trzeba wymagać za wiele.

Październik miał się już pod koniec, a jednak pogoda jeszcze dopisywała. W poranki i wieczory mgły sine, zimne zawisały nad Gwoździeńcem; o południu słoneczko jasno świeciło, przyjemnie grzało. Drzewa po sadach traciły coraz więcej tych liści, co to już zżółkły, zczerniały lub zczerwieniały. Po ogrodach i ogródkach trzymały się jeszcze owilgłe, podziurawione głowy kapuściane — nasienniki buraków i marchwi, słoneczniki oczaste górowały ponad rozrosłym chwastem bylicy, ostów, pokrzyw, łopianów, lebiody. Malwy, georginie, astry, bratki ciągle jeszcze

odnawiały kwiecie, zwabiały do siebie niedobitków motyli; ale wszystkiemu temu zbywało na wdziękach świeżości.

Roślinność wyglądała jak gdyby przydeptana, zmięta, ponadgryzana, oślinio-na przez ślimaki. Zapach silny cebuli, pietruszki i konopi płynął przez powietrze, a ziemia przedstawiała się jak opluta, oślizgła. Sikorki zwinne, bargły obrotne, popiskując, przelatywały od drzewa do drzewa, czepiały się to pnia, to gałązek i starannie wydziobywały zarodki owadów mających się urodzić na wiosnę. Główny zjadacz tej jajecznicy, dzięcioł pstry, z krzykiem przybywał tu niekiedy od lasu. Szczygły w czapeczkach karmazynowych żerowały po ostach, po konopkach sterczących na ogrodzie tu i owdzie. Zięby robiły poszukiwania ziarnek maku, które się wysypały z makówek. Wróble, ptaki zadomowione zapadały gromadnie na ziemię, już się znowu zrywały, z szumem siadały na drzewach, płotach, dachach. Mysi-królik z ogonkiem zadartym wyskakiwał nagle z jakiejś dziurki

podziemnej, malec narobił zgiełku swojem »czyk, czyk, czyk« i znikał — istota zagadkowa, tajemnicza, krasnoludek wśród ptaków.

Mikołajek wałęsał się tędy-owędy, zastawiał sidła na ptaki, a wodził zwykle za sobą Chwytka, mającego upodobanie namiętne do rozkopywania jam mysich i oszczekiwania wiewiórek, które się schroniły na drzewa.

Po zachodzie słońca tłumy wron, gawronów, kawek, z wrzawą kołują ponad wsią, kręcą się, zwijają w powietrzu, zapadają na szczytach topoli z takim szumem, jak kiedy woda wre przez upusty otwarte — istna to procesya ptaków. Mgły już bieleją ponad łąkami, stadko kaczek dzikich leci i tonie wśród nich na nocleg; a na zachodzie niebo gore łagodnie i gwiazda wieczorna pełna blasku wypływa z wdziękiem na tło jego.

Z kominów chałup kłęby dymu idą w górę, żórawie skrzypią przy studniach koło drogi. Wszędzie w obejściach gospodarskich ruch żywy panuje: tam

gospodyni głosem śpiewnym nawołuje kury, prosięta, owdzie zagania gęsi, pędzi bydło do poidła, gdzieindziej gospodarz zjeżdża z pola, wyprzęga konie z pługa.

Tylko na Pomarlu spokojnie, cicho, jak zwykle. Przed chatą leży Chwytek wyciągnięty, z pyskiem na łapach przednich. Już pierwsze nietoperze zaczęły się rysować na niebie i bury kot ostrożnie, noga za nogą, idzie po kalenicy. W izbie ciemnej Margiela spoczywa, a obok niej — Margielka. Budzina była tu przed chwilą, nakarmiła, upieściła dziecko i odeszła. Coś bardzo się zajmowała tem dziewczątkiem, chociaż matce wcale nie okazywała czułości.

Wyrobnica z niecierpliwością oczekiwała przybycia Boberskiej, od której dziś właśnie miała się dowiedzieć, kiedy będzie mogła nareszcie opuścić swój barłóg. Drzwi skrzypnęły, weszła babisia, przyniosła jakieś zawiniątko i złożyła je na łóżku w nogach chorej.

Potem roznieciła ogień, zwarzyła posiłek dla Margieli, a kiedy ją obej-

rzała, zbadała, usiadła i rzekła w te słowa:

— Wysłabowałaś się, wykwękałaś dowoli; żadne niebezpieczeństwo już ci teraz nie grozi. Możesz wstać jutro, wywiedzieć się między ludźmi, gdzie jest jaka robota na twoje siły. Poodwiedzaj też gospodynie, które ci dobrze czyniły podczas choroby, podziękuj im grzecznie za wszelkie łaski; bo nie wiadomo, czy się kiedy znowu nie znajdziesz w potrzebie... A choćby i nie, toś przecie zaciągnęła dług wdzięczności. No, a pojutrze zbierz się, idź na zarobek! Chcę ja koniecznie wytrząsnąć dla ciebie jaką służbę; ale przed zimą każdy się wzdraga, wymawia: Na lato, powiada, można przyjąć lada popychadło, przez zimę nie opłaci się żywić nawet parobka zdatnego do młocki, cóż dopiero dziewkę marną... Jutro przewącham jeszcze, czy się nie da co zrobić we dworze, tylko tam służba jest twarda.

Powiedziawszy to, Boberska sięgnęła po zawiniątko, które rozwiązała i po-

częła wydobywać jakieś szmaty, służące za ubiór kobiet wiejskich.

— Zimna oto idą — prawiła — a ty o mało, że nie gołem ciałem świecisz. Obmyśliłam ci jakie takie obleczenie, wdziejże to jutro na siebie!

— Czym ja też godna, abyście o mnie tak dbali, opatrywali mię, jak gdyby rodzone dziecko! Po co sobie czynicie krzywdę? Toć ja tu mam jeszcze łachy nie ostatnie, mogłabym je znosić — mówiła wyrobnica wzruszona dobrocią swej opiekunki, całowała przytem babisię po rękach, po kolanach, a potem jęła wywłóczyć z pod siebie szmaty zmiętoszone, brudne, dziurawe jak sita. Chciała bowiem pokazać, że się jeszcze ma w co ubrać. Boberska przerzuciła te łachmany, niektóre z nich przeglądała do światła, wzruszyła ramionami i powiada:

— Kobieto, gdybyś nawet chadzała po chlebie żebranym, to i tak nie powinnaś oblekać tych strzępów! Boże miłosierny, jakież toto zgnojone, przebutwiałe, cuchnące! Rzepę możnaby tu

zasiać na brudzie, albo oddać te strzępy pod stępę i olej z nich tłoczyć. Dziwno mi bardzo, że ty, kobieta jeszcze młoda, nic a nic nie dbasz o przyodziewek, porządek. Spospolitowałaś się przez to między ludźmi, wszyscy cię mają za flejtucha ostatniego. Pewnie dlatego i trudno ci służbę znaleźć.

Margiela w uznaniu swej winy, milcząc, znowu się garnęła do babisi, całowała ją po łokciach, po plecach, wdzięczna za obleczenie darowane, za słowa prawdy, za wszystko. Gdyby ją kobieta taka nawet zbiła srogo, ona padłaby jej do nóg z wdzięczności.

— Przez całutkie życie nie będę mogła niczem wam się wywdzięczyć — szeptała w zapale wdzięczności.

— Myśl lepiej o dziecku, nie o dziękowaniu z którego ani mnie ani nikomu nic nie przyjdzie! Sama zachodzę w głowę, jak ty z maleństwem przetrwasz zimę na Pomarlu, jeżeli na to padnie. Wzięłabym was obie do siebie; ale w ciupce ciasnej ledwie się mieścimy ja i Mikołajek. Co tu zrobić?... Zo-

baczymy! Na szczęście, mrozy jeszcze nie ścisnęły. Kto wie, co mi tam we dworze powiedzą?... Teraz czasy są ciężkie, a osobliwie dla dzietnych. Dziecko to, rychtyk jak kamień u szyi, kula u nogi. No, no, przecie w Gwoździeńcu są jeszcze dobrzy ludzie! Bądź ty jutro koniecznie u Jantkowej Budziny, skłoń jej się pięknie, weź pod kolano jak panią matkę! Mówię ci, złoto kobieta... Jakby postanowiła coś takiego, nie sprzeciwiaj się, broń Boże! Mam przeczucie, że los czeka tę twoją małą.

Chrząknęła i poszła do domu. Margiela została z myślami, z dzieckiem, strachami i cudownym obrazem Częstochowskiej. Chwytek, jak na złość, wył a wył tej nocy.

Któż była babisia gwoździeniecka? Agata, z domu Świetlikówna, córka szewca wiejskiego, wyszła była za mąż za niejakiego Boberskiego, felczera z miasteczka w sąsiedztwie. Szewc uciułał trochę grosza i nieźle wywianował swoją jedynaczkę, która z miłości wyszła

za Boberskiego. Pokazało się, że felczer jest pijak skończony, próżniak i — ożenił się dlatego, aby miał za co hulać. Trwonił pieniądze, używał; Agata i tak go kochała. Wkrótce małżeństwu temu bieda dobrze zajrzała w oczy, gdyż felczer robił długi i nie przestawał hulać.

Żona widząc, że niema żartów, wzięła się do roboty: stawiała bańki, rwała zęby, opatrywała rany, puszczała krew, ratowała topielców. W razie potrzeby umiała też ogolić i ostrzydz. Z czasem nabrała zamiłowania do fachu i odznaczyła się taką biegłością, sumiennością zawodową, że lekarz miejscowy brał ją zwykle za swą pomocnicę, nie mając zaufania do felczera prawie ciągle pijanego. Korzystała ze wskazówek lekarza, udoskonaliła swe wiadomości, znacznie rozszerzyła działalność, zwłaszcza w zakresie chorób kobiecych i dziecięcych.

— Mogę spać spokojnie, kiedy Boberska czuwa nad chorym — wyrażał się o niej lekarz. — Ta kobieta posiada wszystkie zalety felczera uzdolnionego, a co ważniejsza, dobroć, słodycz

i staranność doskonałej siostry miłosierdzia.

Po dwunastu latach pożycia małżeńskiego, Boberski umarł śmiercią nagłą w szynku, pijąc arak. Wdowa opłakała męża, pogrzebała i powiada sobie:

— Czegóż ja tu będę siedziała w mieście, gdzie mię teraz już żadna powinność nie trzyma.

I powróciła do Gwoździeńca, wsi rodzinnej, którą wsławiła na daleką okolicę, jako babisia gwoździeniecka. Ludzie biedni wiele jej zawdzięczali, gdyż zawsze bezpłatnie niosła im pomoc lekarską, dzieliła się groszem ostatnim, albo nakłaniała zamożniejszych do litości nad nędzarzami. Tak się postawiła, była przytem taka mowna, że, jeśli szło o wsparcie biedaka, rzadko kiedy doznawała odmowy. Ona jedna mogła słusznie mówić:

— W Gwoździeńcu są jeszcze dobrzy ludzie!

Bo dla niej musieli być dobrzy.

Pukała krył się, kiedy spostrzegł z da-

leka babisię zmierzającą ku jego zagrodzie.

— Choćby człowiek miał serce z kamienia, ona zmiękczy.

Nie miała dzieci i brała sieroty na wychowek. Jedną dziewczynkę Basię od maleńkiego dziecka pielęgnowała, nauczyła ją wszystkiego, co kobieta na wsi umieć powinna, i przed pięciu laty wydała za mąż za Maćka Dajacza, parobka dworskiego. Zaraz potem wzięła na wychowanie Mikołajka.

V.

Nazajutrz równo z dniem Margiela była na nogach, zmówiła pacierz, ogarnęła się paradnie jak nigdy jeszcze, ubrała czyściutko niemowlę. Gorąco pragnęła była wstać, a teraz oto było jej jakoś ciężko wyjść za próg izby z dziecięciem na ręku. To prawda, że ludzie są dobrzy; ale człowiek wolałby ich nieraz nie spotykać, właśnie kiedy ma wątpliwość, czy i tym razem będą dobrzy. Dobroć zależy częstokroć od usposobienia. Któż wie, jak się ludzie zachowają względem kobiety, którą zawsze widywali samą, a nagle widzą ją z dzieckiem?

— Oj, to dziecko!

We wstydzie mieści się także świadomość, że gromada jest mściwa.

Boberska zaleciła poodwiedzać dobre gospodynie. Jak tu iść przez wieś od chałupy do chałupy? Możeby dziecko zostawić w domu i drzwi zamknąć na kołek?

Miała najwięcej zaufania do Budziny.

— Baba zapałka; jeno, skoro ją złość ominie, jest szczera, dobra... Babisia miała coś w tem, kiedy mówiła: Koniecznie bądź u Jantkowej, skłoń jej się pięknie, weź pod kolano jak panią matkę! Mam przeczucie, że los czeka twoją małą. Jużci Budzina musi wiedzieć, jak się to wszystko stało... Pewnie ma taki pociąg do tego dziecka stąd, że sama winna wszystkiemu. Czy mnie potrzebne było nocować w jej chałupie? Za cóż ja teraz wstyd połykam? Po sprawiedliwości to dziecko nie jest moje...

Zagroda Budy była w sąsiedztwie, najwyżej o sześćdziesiąt kroków od Pomarla. Wyrobnica szła pośpiesznie, oglądając się trwożliwie na wszystkie strony. Chwytek biegł za nią, dopóki nie spostrzegł, że gospodyni jego wchodzi

do obejścia Jantka Budy: wspomnienie zatargu o kury zmusiło psa do odwrotu.

Nagła Magda była w domu sama, warzyła śniadanie, a ulubione kokoszki łaziły po izbie. Margiela nieśmiało stanęła na progu, wyrzekła najprzód »Pochwalony!« potem zbliżyła się do gospodyni, oddała pokłon, biorąc ją pod kolana, ucałowała rękę.

— Niech wam Pan Jezus wynagrodzi wszystko dobre, coście mi świadczyli! — wybąkała to głosem cichym, a podług zalecenia danego przez babisię.

Dobrze przyjęto hołd wdzięczności. Gospodyni była w usposobieniu dobrem, gdyż dopiero co obmacywała kokoszki i przekonała się z zadowoleniem, że każda daje nadzieję jaja.

— Bogu dzięki, przyszłaś do zdrowia! Pono tam źle już było z tobą — rzekła Jantkowa, spoglądając nie na matkę, jeno na dziecko, które ślicznie wyglądało w czepeczku różowym.

— Ooo! — zawołała Budzina i z warzechą w ręce odstąpiła garnków. —

Pokaż-że mi tę odrobinę! Na Pomarlu taka ciemnica, żem się dziecinie nigdy nie przyjrzała dobrze.

Więc Margiela czemprędzej postawiła stopę na ławie, a na kolanie oparła niemowlę skrępowane w powijaki i pokazywała.

Jantkowa wyszczerzyła dwa rzędy zębów bieluteńkich jak perły, jęła się wdzięczyć do dziewczynki, której główka kiwała się na wszystkie strony, a oczka nieprzywykłe do jasności mrugały.

— Moja mróweczka drobniusieńka, przemiluśka! — mówiła Budzina z zachwytem i koniuszkiem palca lekko dotykała twarzyczki dziecięcia, które doznało widać wrażenia, gdyż złożyła drobne usteczka do uśmiechu pierwszego w życiu...

— Klejnocik, jak się też to ślicznie uśmiecha do mnie!... Co córuniu, co... — wołała Magda uszczęśliwiona i rzuciła warzechę, zaczęła bawić dziecinę, przemawiając głosem jak najpieszczotliwszym:

— Złotko ty moje, rybeńko!

A im dłużej wpatrywała się w Margielkę, tem większą tkliwość uczuwała w sercu, tem większą przyjemność sprawiały jej pieszczoty zwrócone do dziecka.

Rozpromieniona, szczęśliwa, wzięła nareszcie niemowlę z rąk matki, tuliła je do piersi, lulała, podnosiła w górę i opuszczała. Jakiś szał czułości ogarnął kobietę: zaczęła biegać z dzieciątkiem po izbie, pląsała, przytupywała, pośpiewywała, zbliżała ciągle usta do twarzyczki dziecka, jakby je zjeść chciała. Maleństwo bezmyślnie wytrzeszczało oczka, to znowu mrużyło i zasypiało na rękach tej niani doskonałej. Nagła Magda pierwszy raz w życiu doznawała jakiegoś upojenia błogiego.

Dopiero syk warzy kipiącej z garnka na ogień wyrwał ją poniekąd z owego zachwytu, który zwykł ożywiać kobietę-matkę jedynie. Wyrobnica poskoczyła raźno i tak nieostrożnie odstawiała warzniczek od ognia, że wylała połowę żuru w popiół. Będzina, jak gdyby nie widziała tego, złożyła spokojnie dziecię

na wspaniałej pierzynie łoża małżeńskiego, a sama przyklękła i z wielkiem zajęciem przyglądała się dziewczynce uśpionej.

Matka niemowlęcia z prawdziwem zadowoleniem przypatrywała się tym wszystkim pieszczotom: taka znaczna gospodyni w Gwoździeńcu jest pełna łaski dla dziecka, za które ludzie rzucają kamieniem na rodzicielkę, piętnują ją jako małpę. Ucieszyła się jeszcze bardziej, kiedy zamierzała już odejść, a Jantkowa rzecze w te słowa:

— Gdzież ty będziesz łaziła po wsi z maleństwem rozespanem? Widzisz, że mu tu dobrze, zostaw mi dziecinę! O przy mnie nic jej się złego nie stanie!

Margiela właśnie tylko tego pragnęła, gdyż myślała, że dziecko na jej ręku uderzałoby wszystkich, sprowadziłoby na nią różne nieprzyjemności, pobudzając ludzi do zapytań, śmiechów złośliwych, wytykania palcem.

— Straszne rzeczy! Człowiek wolałby się skryć pod ziemię.

Z niemowlęciem na ręku możeby się

nawet już była nie pokazała nigdzie więcej i gdyby nie Budzina, kobieta dobra, wróciłaby do izby ciemnej na Pomarle.

— Jantkowa nic nie mówi; ale pewnie wie, miarkuje, że to dziecko przyszło na świat nie z mojej winy...

Nie umiała ukryć swej radości, zostawiając Margielę w cudzych rękach i Budzina pomyślała sobie zaraz:

— Biedne dzieciątko, ma matkę, która nie dba wcale! Czy jabym to zostawiła swoje małe na cudzej opiece? Nicpoń dziewka i koniec!

Jantkowa, oprócz upodobania, powzięła jeszcze i litość dla niemowlęcia, przez co czułość jej wzrosła.

A wyrobnica, jak gdyby zwaliła z siebie ciężar ogromny, puściła się teraz między ludzi.

— Gdzieżeś ty zaś podziała dziecko? — spytała Rudnikowa, stojąc wśród gromady dzieci brudnych, z których jedne beczały, inne wołały:

— Matusiu, chleba!

Rumieniec oblał twarz Margieli, za-

wstydzonej tem, że ludzie tak pamiętają o jej macierzyństwie.

— Zostawiłaś małe w domu, hę? — mówiła znowu Dorota. — Ha, jużci prawdę mówiąc, niema się z czego szczycić!

Poszła do Pukaliny, która jej wsadziła szpilkę jeszcze ostrzejszą. Na pytanie, gdzie jest dziecko, wyrobnica odpowiedziała teraz:

— U Budziny!

Myślała, że się zasłoni powagą znacznej gospodyni i przerwie rozmowę o dziecku. Tymczasem Bartkowa rzekła z uśmiechem złośliwym:

— Cóż to, Budzina zamyśla dawać przytułek takim dzieckom z lewej ręki? No, niechże weźmie i chłopaka siostry, Franki Nawrotówny!

Stropiło to wyrobnicę, która, nie czekając dłużej, skłoniła się pokornie do kolan gospodyni, ucałowała rękę jej i poszła.

— Przez to dziecko każdy sobie wyciera mną gębę.

Spotkała po drodze Salkę, pomywa-

czkę z kuchni dworskiej — znajomość od lat najmłodszych: razem się bawiały, razem pasały gęsi i bydło na wygonie. Salka szła, popłakując a wyglądała okropnie: twarz opuchła, pełna siniaków, oczy podbite, krwią zaszłe. Pobił ją kto, czy co takiego?

Zbliżyła się, poznała Margielę ubraną dziś w porządne obleczenie z łaski babisi i natychmiast rzuciła się ku niej jak wściekła, wołając:

— Małpo bezecna, flondro obmierzła!... Wiem, wiem, że ty i Boberska kopiecie podemną dołki we dworze! To ja, dziewka sprawiedliwa, muszę teraz ustąpić miejsca tobie, jawnogrzesznicy ostatniej?.. Czekajże!

Najprzód zdarła chustkę z głowy wyrobnicy i cisnęła w przykopę, potem się zamierzyła strasznie — widocznie chciała policzkiem znieważyć przyjaciółkę lat dziecięcych. Na szczęście, Margiela uchyliła się w porę, oberwała tylko obcierkę w ucho i z głową rozczochraną zmykała co tchu na Pomarle, nic a nic nie rozumiejąc, o co chodzi Salce.

Gromadka ludzi przyglądała się tej zwadzie i wybuchła śmiechem, a jakaś baba chwaliła głośno Salkę:

— Dobrześ zrobiła! Gdyby w Gwoździeńcu było więcej ludzi sprawiedliwych, to takiej małpie powinni zgolić włosy, oblać łeb smołą i ze wsi wyświecić.

Śmiechy i słowa takie dodały szybkości nogom wyrobnicy, niby świst bicza, który z tyłu popędza konia. Wpadła jak szalona do ciemnej izby, runęła na swój barłóg, dostała napadu łkania, które dławi człowieka w gardle niby czkawka śmiertelna, a nie może się stać płaczem łzawym, sprawiającym ulgę.

Przyczyną rozgoryczenia Salki były zabiegi, które babisia czyniła tego dnia od rana, usiłując znaleźć dla Margieli jakieś schronisko na zimę. W przeświadczeniu, że ludzie są dobrzy i że przez nich tylko można dobrze robić, Boberska udała się najprzód do swej wychowanki Baśki Dajaczowej, zamieszkałej w czworakach dworskich. Dobrze jest pokręcić się około dworu,

przepatrzeć, przepytać. Gdzież, jeśli nie tam, można znaleźć zawsze dziurkę dla człowieka?

Baśka uważała za przykazanie wszystko, co opiekunka jej postanowiła, i była gotowa nawet przyjąć wyrobnicę na zimę do swej izby »w ostatnim razie«. Że jednak miała stosunki przyjacielskie z osobami, które wiele znaczyły we dworze, sprowadziła więc do czworaków na naradę dziewkę dworską Ulinę, jedną z tak zwanych przez Ciechonia brytanów.

Ulina, olbrzym kobieta, siostra rodzona Rudnikowej, uwielbiała również babisię. Ona to i druga Maryna, dziewka jak opas, tłusta, pękata, trzęsły rządami w dworze gwoździenieckim. Kto tam pragnął jeść spokojnie kawałek chleba, musiał koniecznie trzymać z temi dziewkami, a przynajmniej im się nie narażać. Maryna była kucharką, Ulina, dziewką do wszystkiego: robiła porządki w pokojach, czyściła suknie i obuwie pańskie, prała bieliznę, dzierżyła klucze od cukru, kawy, herbaty,

a jeśli wypadło, to kosiła koniczynę dla krów do doju, wydawała ze spichrza obroki, rżnęła sieczkę, robiła sery, masło, nieraz i łatała surdut pański.

Dziedzic Kurczyński był to stary kawaler — niziutki, cienki jakby nitka, łysy, wątły, nie używał powagi wśród chłopów i zarządzał majątkiem przez te dwie dziewki.

— Ktoby słuchał takiego wyskrobka bez ręki i bez głosu — mawiał Kuba Ozimek, wolarz.

Otóż, Ulina wpadła do czworaków i dała Boberskiej do zrozumienia, że Margiela, chociaż dziewka marna, a co gorsza — z sławą nadszarpaną, może otrzymać służbę przy kuchni dworskiej.

— Właśnie przed chwilą Maryna zeprała po gębie za brak posłuchu Salkę pomywaczkę i kazała jej iść do wszystkich dyabłów.

Znajdzie się dosyć takich, które będą chciały służyć przy kuchni, gdzie człowiek ma przez zimę spanie ciepłe jak w uchu, zjada różne ochłapy ze stołu pańskiego, dostaje przeszło dwa-

dzieścia złotych zasług na kwartał i półtora bochenka chleba na tydzień. Robota pomywaczki nie należy do najcięższych: mycie i szorowanie naczyń kuchennych i stołowych, zamiatanie kuchni, karmienie psów dwa razy dziennie, obsługiwanie paniusi.

Paniusią nazywano pannę Antoninę, która onego czasu przygotowała była pana Kurczyńskiego do szkół publicznych, za co wdzięczni rodzice jedynaka zapewnili jej do śmierci utrzymanie w Gwoździeńcu.

Ulina pożegnała babisię i wróciła do dworu, gdzie obwieściła, że przyjęła Margielę do służby na miejsce wypędzonej pomywaczki. Tymczasem w tejże chwili zjawia się w kuchni Salka, błaga ze skruszonem sercem, aby jej przebaczono winę i nie wydalano ze służby na zimę.

— Na nic się nie przyda twoje skamłanie: Boberska zszeptała się z Uliną i wśrubowała Margielę — powtarzano w kuchni na wszystkie strony.

Salka markotna odeszła i wnet po-

tem spotkała wyrobnicę, na której wywarła zemstę.

Życie ludzkie obfituje w takie zdarzenia: ciągle ktoś ma urazę do kogoś i w oczy lub zaocznie zaznacza to policzkiem zniewagi. Częstokroć nikczemnik policzkuje zacnego, co sprawia na ludzkości wrażenie, jak gdyby cnota utraciła coś z godności. Cnota właśnie w taki sposób staje się czcigodna.

Babisia zrobiła swoje i pragnęła jak najprędzej zobaczyć Margielę, zwiastować jej nowinę radosną:

— Widzisz, w Gwoździeńcu są dobrzy ludzie! Los cię spotyka: pewnie zostaniesz pomywaczką przy kuchni dworskiej.

Dobra kobieta pośpieszała z tą wiadomością i w drodze zetknęła się z Jantkiem Budą. Natychmiast przypomniała sobie, że kiedyś obiecała nagłej Magdzie pogadać z chłopem na osobności, więc go zaczepiła temi słowy:

— Jantku, cóżeście tacy skurczeni, chadzacie pojedynkiem, a markotność patrzy wam z oczu? Wiedzie wam się

przecie ogromnie... Choroba omija waszą chałupę i kiedy niedawno ludzie marli naokoło, u was palec nie zabolał nikogo. Macie i chleba po uszy — miło popatrzeć na to bydełko, na te urodzaje... No, a Magdalena, gospodyni wasza! Drugiej takiej świat nie widział. Szczerze powiadam, wyście się, Jantku, w czepku urodzili!

Buda, jak wiemy, nie był rozmowny, zerknął na babisię i odrzekł:

— Niczego, ja nie wyrzekam.

Ale po chwili westchnął, a ona jakby rozumiała, co znaczy to westchnienie, przemawia:

— Oddalibyście pewnie połowę swego dostatku, jeśli nie więcej, za to jedno, żeby zostać ojcem... Ja zawdy dowodzę, że ludzie żenią się kóli dzieci.

— Tak niby wypada; ale cóż począć, kiej niema.

— Źle jest w małżeństwie, kiej niema! Kobieta robi się przez to markotna, dokuczliwa, trzeszczy mężowi nad głową, bez mała go nie gryzie. Chłop zaś umyka z chałupy, chadza pojedyn-

kiem, o kęs nie oszaleje. Wiem ja to i sama z siebie i z innych, których widziałam.

— Próżno mówicie, jako też wiem z siebie. Jakaż rada?

— Umiałam ja poradzić sobie, a nie wiem, czyby to było dobre dla innych.

— Cóżeście wy robili, Agato?

— W braku własnych dzieci brałam na wychowek cudze i uważałam za krew swoją. Sierocie zawdy potrzeba rodziców.

Jantek przystanął, gdyż myśl wzięcia cudzego dziecka za swoje nie przyszła mu nigdy do głowy.

— Sierota... sierota... — pomruknął. — U nas w Gwoździeńcu niema sierot.

— Sprawiedliwie można nazwać sierotą dziecko bez ojca, osobliwie jeżeli matka jest w biedzie ostatniej.

— Mówicie niby o bękartach? — zapytał Buda z niechęcią.

— Mój gospodarzu, bękart również za wolą Bożą przychodzi na świat, a kiedy go przyznacie za swoje dziecko, to i przestanie być bękartem.

Tak rozmawiając, nawet się nie spostrzegli, że już są u drzwi chaty, z której do uszu ich doleciały miłe dźwięki piosnki śpiewanej przez Magdę dla Margielki.

Buda zdumiał się nadzwyczajnie, kiedy stanął na progu izby i ujrzał taki obraz: Żona jego klęczała przy łóżku, tuliła oburącz dziecinę leżącą na pierzynie i przyśpiewywała. Magda nigdy jeszcze nie wydała mu się tak piękną i dobrą jak teraz. W pierwszej chwili nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co widział, i nie mógł oderwać oczu od owego widoku. Babisia, mniej zadziwiona, stała poza Jantkiem i ciekawie patrzyła poprzez ramię jego. Naraz Budzina odwróciła od dziecka twarz rozjaśnioną, uśmiechniętą, powstała, zbliżyła się do męża na palcach i, trzymając palec na ustach, szepnęła:

— Ciiicho... śpi...

Jantek bardzo ostrożnie postąpił naprzód kilka kroków i usiadł zamyślony przy nalepie. Obie zaś kobiety siadły pod oknem na ławie, zaczęły rozmawiać

owym szeptem, jaki można słyszeć w kościele, kiedy się ludzie modlą.

— Jakże myślicie, Agato, czy Margiela zgodzi się oddać mi tę małą na wychowek?

— Oo, cóżby nie miała! I jej i dziecku będzie z tem lepiej.

— Pogadajcie-no z nią dziś jeszcze! — rzekła Magda, kładąc rękę na kolanach babisi, jakby dla większego zobowiązania. — Ogromnie mi się dziecina spodobała...

— A wiecie wy, Magdaleno, że ja przed chwilką akurat nastawałam na waszego, żebyście wzięli jaką sierotę na wychowanie, a, rzetelnie wam powiadam, miałam na myśli Margielkę.

— Ciewy, wszystko się dziwnie złożyło... musi palec Boży.

Dopiero baby gadu-gadu, a chłop spogląda na garnki w kominie — pewnie już myślał o śniadaniu. Budzina zasięga różnych rad, pyta, jak karmić dziecię, jak pielęgnować, w czem kąpać, aby się chowała zdrowo. Nagadały się już dobrze, kiedy nareszcie Margielka

zapłakała. Więc baczna na wszystko babisia powiada:

— Niechże sobie Jantek teraz pośniada, bo głodny, a ja uspokoję dziecinę i potem wam, Magdusiu, pokażę precz od a do zet, jak się chodzi około takiego bączka.

Buda zasiadł do miski, poczyna śniadać; Magda zaś uszczęśliwiona, wdzięczy się do niego, przemawia w te słowa:

— Mójeś-ty, jakeś dobry, pomyślno o kołysce dla dziecka! Bo, widzisz zostałeś ojcem. — I pogłaskała go po głowie.

Zrobiło się chłopu na duszy słodko, gdyż najmniej już od roku nie słyszał z ust żony »mójeś-ty« ani nie widział w jej oczach takiej dobroci. O dawno się nie wdzięczyła do niego tak mile! Dziś rano jeszcze gderała, swarzyła, a teraz przemawia »mójeś-ty«. Słowa babisi zaraz mu się przypomniały:

— Źle jest, kiej niema dzieci! Baba markotna trzeszczy chłopu nad głową; chłop umyka z chałupy i pojedynkiem chadza.

Zjadł śniadanie, wziął się do roboty, usiłował zrobić kolebkę wygodną i ozdobną. Udało mu się, chociaż pierwszy raz w życiu robił taki statek. Ledwie to skończył, a Magda znowu się wdzięczy, przymila.

— Mójeś-ty — powiada — takie dzieciątko musi mieć grzechotkę, żeby się miało czem zabawić!

Od czasu do czasu podawała chłopu dziecko, mówiąc:

— Mójeś-ty, pobaw-no przez chwilkę maluśką!

Jantek brał na ręce Margielkę, podnosił ją w górę »hop, hop«, huśtał, przemawiał do niej tak, jak gdyby była dorosła. Nieraz zdarzały mu się z dzieckiem przypadki, o których nie śmiał powiedzieć żonie, że są nieprzyjemne. Jeżeli zaszła potrzeba w dzień, czy w nocy, to i pokołysał małą.

W chacie rozlegał się huk sprawiony przez bieguny kołyski w ruchu, brzmiały dźwięki piosnek przerozmaitych, któremi Magda zabawiała i usypiała Margielkę. Usta się nie zamykały

kobiecie i kiedy jej serce wezbrało miłością, ułożyła niejedną nową piosnkę macierzyńską.

Jakże się Buda zadziwił, kiedy usłyszał pewnej nocy, że Chwytek szczeka z zapałem w jego okólniku gospodarskim! Pies opuścił Pomarle, gdzie już nie było ani Margieli ani Margielki i — może zwabiony znanym sobie płaczem dziecięcym — poszedł na służbę do chaty sąsiedniej.

Boberska, zostawiwszy dziecko w dobrych rękach, poszła szukać matki, aby jej także zapewnić sposób do życia. Zastała Margielę na Pomarlu zapłakaną, strapioną, wyrzekającą nieustannie:

— To dziecko świat mi zawiązało!

Babisia, chcąc ją uspokoić, musiała tupnąć nogą i ostro fuknąć:

— Cicho, oślico głupia!

Potem jej przedstawiła, że w Gwoździeńcu są jeszcze ludzie dobrzy, którzy przygarną sierotę, a biednemu nie pozwolą zginąć z głodu.

— Służba niezgorsza czeka na cię przy kuchni dworskiej; Budzina zaś

wzięła na wychowek twoją małą i chce ją uważać za swoją... szczęście ogromne dla dziecka. Wszystkie strapienia, kłopoty, skończyły się nareszcie. Nie piszcz, nie wyrzekaj bez potrzeby! Choćby też tam kto i przysolił ci kiedy jakiem słowem, nie zważaj, tylko się zbierz w kupę, rób swoje, a z ludźmi trzymaj!

Margiela z tego wszystkiego chwyciła głównie jedno:

— Budzina wzięła na wychowek twoją małą i chce ją uważać za swoją.

Myślała nad tem i zapytała:

— Jantkowa... powiadacie... wzięła dziecko?

— No, tak, tak, nie inaczej! Dla ciebie jest ono ciężarem, dla niej pociechą, i to wielką.

— Powinni je wziąć, bo jest ich, pochodzi z ich chałupy i tam należy — bąkała wyrobnica, jakby rozmawiała sama ze sobą.

— Co ty wygadujesz? Sama pewnie nie rozumiesz swojej mowy głupiej! — zawołała babisia gniewnie.

— Doskonale rozumiem, moiściewy,

wyznaję wam prawdę rzetelną — odparła Margiela i podniosła na Boberską oczy zapłakane, głęboko wpadłe, jakieś wylękłe, czy błędne.

Z włosem rozczochranym, twarzą wychudłą, przerażająco bladą, z wargami spieczonemi, na których skóra popękała, była podobna do widma grobowego.

Babisia drgnęła i rzekła głosem łagodniejszym:

— Pytałam cię już sto razy, a nie chciałaś mi nigdy powiedzieć prawdy. Nie rozniosę przecie, owszem, pomogłabym tobie i dzieciątku.

— Zawdy mówiłam prawdę, jako i teraz: niema ojca... We śnie coś się stało...

— Możesz to mówić głupiemu nie mnie, kobiecie, która rozumiem takie rzeczy!... Co znaczy twoje powiedzenie, że dziecko pochodzi z chałupy Budów i tam należy? — nastawała Boberska, znowu zaostrzając ton głosu.

— Oj, nie gniewajcie się, Agato! — skamlała wyrobnica błagalnie, okrywając pocałunkami i łzami ręce babisi. —

Czy to jest moja wina, że mi się tak widzi?

— Kobieto, tyś chyba niespełna rozumu?

— Pamiętacie wy, Agato, co było na bez-rok przed samymi godami, kiedy miał już umrzeć Sobek Nawrot, pan ojciec Magdy Budziny?

— Było czyste urwanie głowy: żona jego, córka, ja, nie sypiałyśmy po całych nocach. Ale cóż jedno ma do drugiego? Chcesz powiedzieć, to mów wyraźnie!

Margiela siedziała na barłogu skurczona, oparła łokcie rąk na kolanach, głowę pogrążyła w dłoniach i milczała.

Boberska cofnęła się myślą wstecz przeszło o dziesięć miesięcy i przypomniała sobie z owego czasu różne zdarzenia, z których usiłowała wyprowadzić wnioski dotyczące wyrobnicy.

Musimy tu wesprzeć pamięć lekarki gwoździenieckiej i opowiedzieć w krótkości, jak się istotnie miały rzeczy. W wigilią wigilii Bożego Narodzenia rwetes straszliwy panował w chacie

Sobka Nawrota, gospodarza bogatego, który już od dwóch miesięcy chorował bardzo ciężko, a tego dnia od rana zaczął konać. Wszyscy domownicy znużeni czuwaniami całonocnemi upadli na siłach, chodzili jak pijani około umierającego. Boberska, głównie czynna przez czas choroby, wyglądała jak widmo z tamtego świata i drzemała, łażąc. Nie mogła ona podołać trudom, więc na kilka dni przed śmiercią Nawrota przybrała sobie do pomocy Margielę, której w dniu ostatnim także sił zabrakło. Przed wieczorem Buda przywiózł z miasta lekarza, a lekarz popatrzył na chorego i poszepnął babisi:

— Przygotujcie trumnę! — I kazał się na całą noc odwozić.

Magda, córka ukochana Sobka, pragnęła być przy tatusiu do chwili ostatniej, ażeby zawrzeć powieki rodzica. Pamiętała jednak, że dom jej i wszystko gospodarstwo pozostaje na łasce boskiej; gdyż Jantek pojechał z lekarzem do miasta. W Gwoździeńcu i w okolicy kradzieże były wtedy na porządku

dziennym; więc Budzina w dbałości o swój dobytek dała Margieli klucz od chaty i kazała jej tam przebywać, dopóki gospodarz nie powróci. Wyrobnica zrobiła, jak jej zalecono; ale nie mogła się doczekać Budy, padła nareszcie na miękkie łoże małżeńskie, spała jak zabita.

Przed samem świtaniem Jantek przybył z miasta, gdzie — że to przed świętami — spotkał tego i owego, wypił i na mrozie dobrze sobie zalał pałkę. Kiedy wszedł do izby, nie wątpił, że to Magda śpi na łóżku i obok niej legł cichaczem.

O pierwszem świtaniu Margiela się ocknęła pod wrażeniem snu dziwnego, spostrzegła kogoś obok siebie w łóżku, przerażona ogromnie wyskoczyła natychmiast, uciekła co tchu z chaty.

Było dobrze na dzień, kiedy Nawrot skonał, a Budzina spłakana powróciła do domu.

Boberska zapewne nie znała wszystkich tych szczegółów; ale i tak, jako kobieta domyślna, umiała wyprowadzić

wniosek nadzwyczajnie prawdopodobny. To też po namyśle rzekła z powagą wielką do wyrobnicy:

— Dobrze robisz, że trzymasz język za zębami! Jedno nieszczęście już się stało i nie może się odstać; drugie spadłoby, jak amen w pacierzu, na nich i na dziecko twoje, gdyby Magda zmiarkowała cokolwiek. Bóg jeden wie, co ona w nagłości swojej gotowa jest zrobić!

Z temi słowy wzięła Margielę za rękę, poprowadziła do dworu, gdzie ją oddała pod opiekę Uliny i Maryny.

VI.

Dziecko nie może doznawać opieki lepszej nad tę, jaką Margielka znalazła w chałupie Budów. Jantek i Magda cackali się z małą nieustannie, dogadzali jej we wszystkiem. Kukułczę słabowało niekiedy, powrzaskiwało w gniazdku miękkiem; wówczas Buda wybiegał co tchu z domu, sprowadzał babisię, która zaradzała złemu, najczęściej stosując proszek troisty albo okłady ciepłe z popiołu.

Chłop tak polubił to dziecko przybrane, że bez zachęty żony, z dobrej woli piastował, kołysał dziewczynkę. Jak tylko wchodził do izby, zaraz spoglądał ku kołysce i, jeżeli Margielka nie spała, zbliżał się do niej, cmokał wargami, klaskał językiem albo w dło-

nie, pobudzał ją do uśmiechu, dotykając dołeczków ust paluchem grubym. Zawsze przywoził teraz z miasta jakiś gościniec dla córusi — nigdy o tem nie zapomniał. Dziewczynka miała do zabawy i grzechotkę, i gwizdek gliniany z kogutkiem, i cacko dziurkowane z dzwoneczkami, lalusię i co tam jeszcze.

Wykąpana, wystrojona czyściutko, malutka elegantka podobała się każdemu. Tylko Pukalina przyganiała Magdzie za oczy:

— Do czego to podobne chować taką biedę, jak gdyby dziecko pańskie... Nawyknie z małości do zbytku i potem źle jej będzie... Głupia, upodobała sobie też, upodobała... dziecko Margieli!

Wyraźnie korciło to Bartkową, że Magda okazuje tyle dbałości o Margielkę. Korciłoby ją również, gdyby Budzina nie dbała o dziecię.

Dopiero kiedy toto maleństwo zaczęło nabierać sił, rozumu, rwać się do rozmaitych rzeczy, wyciągać rączęta do ognia, strzelać oczyma za kokoszkami,

za Chwytkiem — oj byłoż pełno uciechy w izbie!

— Patrzaj-no, mójeś ty, jaki to mądry raczek!

— Widno Pan Jezus rychło daje jej rozum. Pięknie się chowa... na psa urok!

— Jantek, kiej nasza panna się wychowa, musimy ją wydać za mąż, wywianować jak córkę gospodarską... prawda?

— To się ma wiedzieć.

Malutka jeszcze nie mówiła, tylko goworzyła:

— Buuu, muuu, wuuu.

A już było znać, że pojmuje niejedno: chce iść na ręce do matusi, czy do tatusia, trzepoce radośnie rączkami na widok Chwytka.

— Widzisz ty, Jantek, dziecina przepada za tobą! Zróbże jej hop!

Oboje zgadywali doskonale zachcenia dziecięcia, a dziecię rozumiało uśmiechy ich, pieszczoty, ruchy różne. Było tam w izbie wiele owej miłości, co to połyskuje szczęściem z oczu ludzkich i w szczęście przystraja twarz człowieka.

Jantkowa, kobieta nagła w gniewie, była także nagłą i w kochaniu. Ileż to razy całowała z zapałem niezmiernym rączki pulchne i fałdziste, nóżki, szyjkę dziecięcia.

— Poduszeczki moje cudne, moje skarby, miliony!

A dziewczynka chichotała wtedy tym śmiechem dziecka serdecznym, w którym brzmi czysta, prawdziwie szczera radość, szczęście życia. Taki śmiech chwyta innych za serce i także uszczęśliwia.

Nieraz tatuś sadzał małą na swem ramieniu, na głowie, nosił ją »na barana«.

Ktoby powiedział, że ten Buda nieruchawy, mruk taki, umie wybornie bawić dzieci?

— Zrobił się z niego zupełnie inny człowiek — mówiła Magda do babisi, wyznającej zasadę, że »ludzie żenią się kóli dzieci«.

Kiedy wiosna nadeszła, słońce majowe świeciło prześlicznie, grzało przyjemnie. Jantkowa chadzała w pole, na ogród, aby tam robić różne wysadki.

Zabierała wtedy z sobą Margielkę, wynosiła ją na słoneczko, ubraną w czepeczek modry albo różowy, naszywany centkami złocistymi. Na murawie zielonej sadowiła dziewczynkę podobną do kwiatka jakiego wiosennego, otuloną w pierzynki i chustki, obesłaną wokoło gałązkami kwiecistemi bzu tureckiego. Chwytek zawsze legiwał przy małej na straży, zwinięty w kłębek warczał, zrywał się do obrony, jeżeli miał powód do tego. Czasem gęś z pisklętami zapędzała się tutaj, gniewnie posykując. To znowu cielak tegoroczny rozbrykał się, sadził w susach z ogonem zadartym. Bocian też, jak gdyby ciekawością zdjęty, zachodził niekiedy ostrożnie z boku. Pies, naturalnie, nie pozwalał żadnemu z tych stworzeń zbliżyć się do dziecięcia na odległość, którą uznawał jako niebezpieczną dla małej.

Buda w oddaleniu, na trzeciem czy czwartem polu, szedł bądź za pługiem, bądź za broną, a nic nie uszło jego oka z tego, co się działo.

Innym razem Jantkowa wbijała w zie-

mię żerdki, rozpinała na nich płachtę i w takiej kolebce wiszącej sadzała Margielkę, a psu przykazywała:

— Chwytek, leż tu pilnuj!

Ona szła do roboty, pies zaś natychmiast przylegał i czuwał.

Chwytek nie wdawał się teraz z Mikołajkiem, stał się statecznym psem gospodarskim, miał łaski u gospodarza i gospodyni, a dziecko aż drżało z radości na jego widok.

Minęła wiosna, przeszło i lato — czasy największej pracy dla rolników. Dziewuszka zaczynała chodzić, czepiając się rękami to ławy, to ściany, to zapaski matusinej. Mówiła »hop-hop«, kiedy się wspinała na kolana ojca lub matki. Już nieraz była upadła, stłukła sobie główkę, nosek, albo znowu oparzyła rączkę i żaliła się nawpół z płaczem:

— Buch, gaga!

Codziennie nabierała mądrości życiowej: nietylko umiała wyrazić w języku swoim potrzebę zaspokojenia głodu, pragnienia; ale także rozumiała już, co jej wolno i nie wolno. Nazywała niektóre

dobre czyny »caca«, złe — »be«. Ma się rozumieć, że »caca« były także osoby, zwierzęta i rzeczy, które jej się podobały. Małe dzieci, cielęta, źrebię, Chwytek, kury — zawsze »caca«. Do Pukaliny nigdy nie chciała iść na ręce, odwracała się ze wstrętem, mówiąc:

— Be!

— Niewinne dziecko przeczuwa, że ta baba ma sam fałsz w duszy — twierdziła Jantkowa.

Ponieważ zaś Chwytek zawsze znowu warczał i szczekał na Bartka Pukałę, przeto Buda mawiał:

— Pies przeczuwa w nim duszę podłą.

Na zasadzie tego, z czem się dziecko od czasu do czasu dało słyszeć, pozyskało ono w rodzinie przybranej sławę cnoty i mądrości. Gdyby kto odważył się pisnąć, że Margielka jest nie dobra, głupia, albo nawet — że nie jest dzieckiem najpiękniejszem w Gwoździeńcu — taki miałby od Magdy za swoje.

No, a cóż się dzieje z matką tego kukułczęcia?

Margiela, obecnie pomywaczka, zwy-

kle, choć nie zawsze, otrzymywała od Maryny pozwolenie wyjścia z kuchni w niedzielę po południu i wtedy odwiedzała córkę, do której, jak sobie zrazu wyobrażała, nie miała już żadnego prawa. Przychodziła do chaty Budów z właściwą sobie trwożliwością, pokornie całowała w rękę gospodarza, gospodynię, kłaniała się obojgu niziutko do kolan, popatrzyła na dziewczynkę podrastającą i potem wracała do kuchni dworskiej.

Te odwiedziny jej świąteczne w ciągu całej zimy nie trwały nigdy dłużej nad pół godziny. Z wiosną zaczęła wcześniej przychodzić i odchodziła później.

Dlaczego nastąpiła ta zmiana? Może życie rodzinne Budów, widok dziecka, kochanego przez Jantka i Magdę a zasługującego na kochanie, oddziałały na pomywaczkę. Uczucia znikają, ale i rodzą się, rozwijają w duszy człowieka. Więc może poczuła w sobie »kocham, pragnę«, zaczynała żyć inaczej. Twarz jej znękana, prawie martwa, ożywiła się teraz. Oczy jaśniały blaskiem dziwnym,

kiedy ukradkiem zerkała z kąta na dziecko. Takim wzrokiem spogląda się na przedmiot zakazany a ulubiony. Przychodziła tu z pośpiechem gorączkowym, drżała, kiedy przyciskała małą do swej piersi. Stała się jeszcze trwożliwszą.

Nikt jednak nie zwracał najmniejszej uwagi na pomywaczkę. Jantek i Magda zwykle zajmowali się Margielką, rozmawiali o niej albo o sprawach domowych. Margielka lgnęła to do tatusia to do matusi, odwracała się od Margieli, kilka razy nawet nazwała ją »be«. Pomywaczka przynosiła z kuchni i przysmaki; ale to nie zjednało dziecka.

Nareszcie Magda jakoś pod koniec lata spostrzegła, że Margiela przedłuża coraz więcej swoje odwiedziny świąteczne, wpatruje się w dziecko z upodobaniem i narzuca mu się natrętnie. Spostrzeżenie obudziło zazdrość macierzyńską w sercu Budziny.

— Ona może sobie myśli, że ma jakie prawo do małej, którą ja wychowałam jak swoją własną córkę.

Częstokroć zmierzch dobry już zapadł i Jantkowa przypominała to pomywaczce:

— Czas wielki na ciebie wracać do kuchni! Kto służy, traci wolność. Za takie spóźnianie Maryna pewnie narobi piekła, a ty możesz wylecieć ze służby.

Rzeczywiście, Maryna robiła piekło straszliwe, co jednak nie powstrzymało pomywaczki od wysiadywania w chałupie Budów. Mus serca miał więcej siły aniżeli mus służby. Na dnie duszy Margieli kiełkowało przekonanie:

— Magda mię nie lubi i wypędza, Jantek ma serce lepsze, nie zrobiłby tego.

Biedni i niepozorni mają częstokroć swobodę w miłości, ponieważ nikt ich nie podejrzywa, ażeby byli zdolni kochać i mieli śmiałość potrzebną do kochania. Margiela znajdowała się w tem położeniu, jeżeli żywiła i dla Jantka teraz jakie uczucie. Ale świat nigdy się nie dowiedział o jej miłości. Jedna Boberska może coś-coś miarkowała.

Pomywaczka wyczekiwała święta

z upragnieniem, a w kuchni tak się zwijała z robotą, że zaraz po południu przybywała w odwiedziny do Magdy, a odchodziła późno wieczorem. Coś ją tam ciągnęło niepowstrzymanie i coś zatrzymywało. Płaciła za to upokorzeniem w domu Budów, a za powrotem do kuchni dostawała po łbie i nic nie pomogło.

— Dziwno mi, czego to popychadło tak u nas wysiaduje — mówi raz Budzina do męża. — Bo żeby przynajmniej można było z nią pogadać! Gęby przez pół dnia nie otworzy, tylko siedzi jak grzyb i wyłupia oczyska.

— Samaś ją złasiła poczęstunkami, podarunkami i teraz dotrzymuje, czeka pewnie, żeby jej co kapnęło — odpowiedział Buda.

W samej rzeczy, Jantkowa z początku podejmowała pomywaczkę gościnnie i na odchodnem zawsze ją czemś obdarzała: już to dała gorset z siebie, szmatę na głowę, już spódnicę przechodzoną, czy na zapaskę. Kobieta strojna, porządna i czysta do ostatniej nitki nie

mogła znosić Margieli brudnej, obszarpanej albo w obleczeniu tak zmiętoszonem, jakby je »psu z gardła wyjęto«. Upominała ją za każdym razem, kładła jej w uszy, co i jak powinna robić, ażeby być podobną do ludzi. Nauka nie poszła w las, pomywaczka zaczęła się stroić i, kiedy szła w odwiedziny do Jantkowej, sadziła się na czystość, strojność, przypinała nawet parę kwiatków do chusty na głowie. Cóż z tego, skoro z natury brakowało jej urody, której nie zastąpi obleczenie najpiękniejsze. Była ogromnie chuda, zbiedzona, wyglądała jak deska.

Miała na twarzy jakieś plamy; usta blade, krzywe, sprawiały wrażenie, że jej się na płacz zbiera. Potykała się, idąc z głową opuszczoną, majdała pocieszne rękoma, stawiała stopy nieśmiało i ku sobie. Tylko oczy, chociaż głęboko zapadłe, miały blask życia. Nic a nic nie umiała nadrobić miną i kiedy przyszła w odwiedziny, trzymała się ścian, kątów, chodziła boczkiem zabawnie, jakby miała pęta na nogach, a ręIO

ką zawsze zatykała nos i usta. Sadzenie się na strojność uczyniły ją śmieszną.

Pukalina, widząc ją raz w niedzielę, pokazywała palcem i śmiała się do rozpuku:

— Widział kto kiedy takie czupiradło!

Magda też nieraz mówiła:

— Żeby na nią wdziać gorset nawet z ornatu, spódnicę najpiękniej wydzierganą, a na głowę szmatę turecką, zawdy będzie kołek i nic więcej.

Dawało się widzieć na rzut oka, że to jest kobieta sponiewierana między ludźmi, nie umiejąca się nigdy stawić, nawykła w skrytości łzy połykać, skazana na to, aby się nigdy nie podźwignąć. Takie nic prędko się naprzykrzy nawet ludziom miłosiernym.

— Masz jałmużnę i idź sobie, nie wystawaj mi na oczach!

Więc też nagła Magda poczęła się niecierpliwić, nie zachęcała już obecnie Margieli do odwiedzin żadnymi podarunkami, a nareszcie tak się do niej

zniechęciła, że była obojętna jak skała na jej witanie, pożegnanie, nie rzuciła nawet czego zwyczaj:

— Jak się masz?

— Bądź zdrowa!

A przytem robiła taki nos, tak odymała wargi, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Idź do dyabła!

Bardzo często też przycięła jej ostro, że drugiemu poszłoby w pięty; albo się żachnęła gwałtownie, dając poznać wyraźnie swą odrazę. No i ta Margiela, niedawno jeszcze ogromnie czuła na wszelką przyganę ludzką, znosiła teraz wszystko jak najlepiej.

Nikt się o nią nie troszczył: nieraz rozmawiano o niej jakby o nieobecnej, a ona cichutko przycupnęła w kąciku, rzucała spojrzenia ukradkowe na dziecko, była szczęśliwa, że jej wolno używać. Za to używanie cierpliwie znosiła wszystkie dąsy i wybryki gospodyni, a kiedy wróciła i dostała od Maryny po łbie, po karku, myślała sobie:

— Wiem, za co cierpię!

Budzina brała się na sposoby: zamykała chatę na kłódkę i z dzieckiem na ręku, z chłopem obok wychodziła przy święcie bądź w pole, bądź do lasu. Pomywaczka zasiadała wtedy na progu, czekała choćby do zmroku i zawsze się doczekała powrotu rodziny. Doszło do tego, że poczęła w dni robocze rzucać zajęcia, robić wycieczki z kuchni, wpadać na chwilkę do chaty Jantkowej.

To już zniecierpliwiło Magdę do najwyższego stopnia, wsiadła na Margielę po swojemu:

— Zakładasz sobie, widzę, u mnie kwaterę? O mam tego dosyć! Obmierzłaś mi, zbrzydłaś, nie mogę już patrzeć na cię próżniaku! Ruszaj zaraz do roboty, na oczy mi się nie pokazuj więcej!

Jednak Budzina doświadczała potem wyrzutów sumienia:

— Za ostro się z nią obeszłam... Co mi też wadzi takie biedactwo? Zawszeć to jest matka rodzona mojej Margielki.

Po takiej odprawie, Margiela nie pokazywała się przez kilka dni i w nie-

dzielę wcale nie przyszła w odwiedziny. Ale miłość nie ma ambicyi, żyje wyłącznie pragnieniem zadowolenia uczucia, które nie uznaje godności osobistej i jest zawsze gotowe poświęcić ją, gdy zajdzie potrzeba. Gdyby nie to pragnienie właśnie, Margiela tak bojaźliwa, nieśmiała, nigdyby już nie przekroczyła progów domu Budziny. Tymczasem w jakieś święto znowu się zjawiła: stanęła we drzwiach zmieszana, drżąca, niepewna, czy jej gospodyni nie powie:

— Nie pokazuj mi się na oczy!

Magda jednak chciała jej teraz wynagrodzić swoją porywczość i okazała w przyjęciu uprzejmość, powitała słowem dobrem, a potem ugościła. Zachęcona przyjęciem takiem, pomywaczka wnet zaczęła się naprzykrzać odwiedzinami coraz częstszemi, co w ciągu trzech tygodni doprowadziło Magdę do ostateczności.

— Bądźże tu dobrą dla takiego wycierucha! — wykrzykiwała Budzina i zwróciła się do męża:

— Mójeś-ty, wdaj się w to, proszę

cię, uwolnij mię od tej zmory! Powiedz jej krótko a węzłowato, żeby przestała mię trapić. Bo, szczerze powiadam, miara się przebrała, nieraz wre we mnie wszystko i gotowam ją kiedybądź za drzwi wyrzucić.

— A cóż tobie tu zawadza takie cielę? Masz też dbać o kogo!

— Sama nie wiem, dlaczego od jakiegoś czasu nie mogę patrzeć na to dziewczysko! Korci mię i aż coś podnosi, kiej ona tu wysiaduje!

— Ha, u mnie nie kupić! Powiem »wynoś się« i po wszystkiemu — odrzekł Buda ożywiony duchem rycerskim.

Rzeczywiście, postąpił tak, jak zapowiedział. Margiela od tej chwili zaniechała odwiedzin. Przez jakiś czas uwijała się po kuchni jak ścięta z oczyma zapuchłemi od płaczu, wszystko jej z rąk leciało.

— Zatracona, śpiesz się, bo ci te nożyska włogawe polanem przetrącę! Robić jej się nie chce... myślała, że tu przy kuchni będzie się mogła rozwalać, po całych dniach wylegiwać, albo łazić

jak za weselem... Zwijaj się, szturmaku jeden, pókim ja dobra! — wykrzykiwała nieustannie Maryna i tylko na to czekała, ażeby się pomywaczka skrzywiła z niezadowolenia, albo stawiła hardo.

Paniusia dokuczała jej mniej głośno; ale kto wie, czy nie dotkliwiej. Stara panna miała głos taki suchy i syczący, że nawet słowa wyrażające uprzejmość, przychylność, brzmiały jak złorzeczenia zjadliwe. Miała ona przytem upodobanie nałogowe szczypania swoich posługaczek i ile razy dotknęła gdziebądź ciała Margieli, zostawiała na niem sińce. Uważała sobie za obowiązek społeczny dawać z siebie prostakom dobry przykład pobożności i codziennie wieczorem odmawiała z pomywaczką jakąś litanię. Klęczały obie przed wystawionym obrazkiem i paniusia czytała głośno nabożeństwo, a Margiela za nią powtarzała słowo w słowo. Była to męczarnia straszna, gdyż, za każdym wyrazem źle powtórzonym przez służącą nieczytelną i niepiśmienną, stara panna

wydawała syk, a palce jej chude, podobne do widelca, sięgały, aby szczypać. Oprócz tego, panna Antonina podlegała napadom czkawki, podczas których Margiela musiała przy niej siedzieć, nacierać lekko flanelą żywot staropanieński; podawać wodę cukrzoną do picia. Posługaczka za każdy ruch niezgrabny także otrzymywała uszczypnięcie i pod koszulą wyglądała jakby nastrzyknięta farbą modrawą i zielonawą. Salka, poprzedniczka Margieli, tak się wyrażała o paniusi:

— Dyabeł powstydziłby się złości przy tej psicy starej!

Otóż, pomywaczka udręczona na duszy i na ciele szukała jakiego punktu oparcia i jednego dnia wybrała się do Boberskiej. Zrazu nic nie mówiła, jak zwykle, przycupnęła w kącie, wzdychała.

— No cóż, jakże ci tam idzie? — pyta babisia, patrząc jej w oczy. — Skończyła się pono już twoja niedola! Masz teraz głowę wolną, skoro bieda

nie ugniata ani ciebie ani dziecka... prawda?

Ta spuściła oczy, milczy, jeno na owe słowa łzy grochem stoczyły się po jej policzkach i po chwili bąknęła głosem żałosnym:

— Nie mam przed kim wypłakać się oto i... przyszłam do was, Agato... — mówiąc to, chwyciła skwapliwie rękę, całowała, oblewała łzami.

Boberska usunęła rękę, obrzuciła Margielę wzdłuż wzrokiem, może ją uderzyły sińce na twarzy, szyi, piersi rozmamanej, gdyż rzekła:

— Pewnie cię tam bijają w kuchni? Moja kochana, przy robocie pilnej niema żartów, a ty... mówiąc prawdę... masz małe rozgarnienie... Trza ci się włożyć!

— Robota mi nie dolega...

— Więc co? Powinno ci być dobrze w porównaniu z tem, jak było na Pomarlu.

— Dobrze mi być nie może — odrzekła z westchnieniem, miętosząc w palcach zapaskę.

— Boś ślamazarna, nie masz w sobie obrotności najmniejszej, nie chcesz się uzdatnić do nijakiej roboty! Przecie widzę teraz na tobie przyodziewek niezgorszy: zapomogłaś się w służbie? W sobie i na gębie pewnikiem nie zlepszysz się nigdy, jakoś jest dziewka mdła z przyrodzenia, przepaścista, czy co takiego.

— Nie to, moiście-wy, nie to!

— Eee, nie lubię wzdychaczek, mazgajstwa! Czegóżeś ty godna? Ciągle utyskujesz, beczysz... i to ma być baba? Tfu, do licha ciężkiego!

Margiela znowu pochwyciła rękę babisi, całowała szczerze, poszeptując:

— Oj, nie gniewajcie się, Agato!

— Jakie tam moje gniewanie! Chcę ci tylko dać naukę — powiedziała Boberska udobruchana pokorą pomywaczki. — Kobieto, zastanów się, pomyśl! Ludzie dobrzy zrobili dla ciebie wszystko, co należało: wzięli na wychowek twoje dziecko, dają ci sposób do życia, czegóż więcej potrzeba?

— Cni mi się teraz bez dziecka, nie

mogę wyżyć... Oj, po co ja je oddałam! — Z temi słowy zapłakała cicho.

— Głupiaś jest matka, nie rozumiesz szczęścia córki! Wiesz przecie doskonale, że nie zdołasz dać dziecinie takiej wygody, jaką ona znalazła u Jantkowej, gdzie jej nie dostaje tylko mleka ptasiego. Czy ty nie widzisz, jak Budzina dba o małą, jak się do niej przywiązała?

— Oo, ona ma wszystko... wszystko... i nawet... dziecko moje! — wyjąkała z płaczem i wzniosła oczy załzawione na babisię, mówiąc błagalnie: — Idźcie, powiedzcie jej, niech mi odda dziecko!

Boberska aż podskoczyła, spojrzała wzrokiem groźnym na pomywaczkę, która struchlała pod wpływem oczu burych, przenikliwych.

— Jantkowa ma wszystko — rzekła babisia głosem ostrym — ma chłopa, bo go poślubiła; ma majątek, bo dostała wiano; ma twoje dziecko, bo je przygarnęła z litości, rozumiesz? Będziesz ty zazdrościła takiej kobiecie, że

ona ma wszystko?... Powinnaś jej przez całe życie być wdzieczna, jak nikomu drugiemu na świecie! Gdybym widziała, że taki los spotyka moją córkę, błogosławiłabym dobrodziejów, a ty mi tu wyrzekasz... I jak tu ludzie mają robić komu dobrze?

— Nie mogę teraz nawet popatrzeć na dziecinę... Ziemio, rozstąp się!... Przeciężem ja matka! — zawołała Margiela i najprzód załamała ręce, a potem oburącz podniosła do oczu zapaskę brudną, zakryła nią twarz i szlochała rzewnie.

Po chwili, babisia zaczęła znowu mówić łagodnie, przekonywająco:

— Kto ci broni widywania małej? Bywasz tam przecie, wysiadujesz, naprzykrzyłaś się nawet, a dobra kobieta i tak cię znosi; bo jest dobra!

— Teraz zakazali mi tam bywać! — uskarżała się Margiela głosem, który zdradzał niejakie zadowolenie jej z tego, że mogła coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Pragnęła widocznie, ażeby ta dobra Agata potępiła choć cokolwiek dobroczynną opiekę nad dzieckiem.

Boberska uśmiechnęła się i rzekła:

— Zakazali bywać? Cóż z tego, że zakazali? Czy ci to już nie zakazywali, a i tak przychodziłaś? Jantkowa jest kobieta z sercem złotem!

— Wszystko się skończyło... Już tam noga moja nie postoi! — poszepnęła, znowu zakryła twarz zapaską i kwiliła.

— Dlaczego nie masz tam chadzać? I możesz, i powinnaś, i nikt ci nie przeszkodzi. Tylko, widzisz, nie trza się nigdy naprzykrzać ludziom... co nadto, to nie zdrowo. Przyjdź sobie, zobacz dziecko, posiedź chwilkę i wracaj do swojej roboty! Jantkowa jest dobra baba, ale nie lubi, żeby jej ciągle kto siedział na karku, a przytem myśli, że za takie wysiadywanie mogą cię wypędzić ze służby.

— Ona mię okrutnie nie lubi — bąknęła nieśmiało pomywaczka.

— Kto ci to powiedział?

— Widzę z jej oczu i ze wszystkiego... Podburzyła pewnikiem Jantka, żeby mi zakazał bywać... Onby sam z siebie nie zrobił mi tej krzywdy...

— Onby nie zrobił ci krzywdy? Skądże znowu masz taką pewność?

— Niby czuję, moiściewy.

— Z twojego gadania głupiego mógłby kto myśleć, że Jantek zszeptuje się z tobą przeciw Magdzie.

Pomywaczka stanęła cała w płomieniach, a babisia położyła rękę na jej ramieniu i zawołała ostro:

— Margielo!

Wezwana po imieniu podniosła oczy i spotkała surowy, przenikliwy wzrok Boberskiej, która zdawała się jej duszę na wskróś świdrować i przeglądać w niej wszystko najgłębiej ukryte. Nie mogła wytrzymać tego spojrzenia, zaczerwieniła się jeszcze bardziej i w pomieszaniu ogromnem pochyliła się do kolan babisi, które objęła, jak gdyby chciała ukryć swe pomieszanie.

— Nie gniewajcie się na mnie, Agato! — wyjąkała.

Ale Boberska ujęła ją silnie za ramię, podźwignęła, wstrząsła i rzekła głosem bardzo ostrym, dobitnym:

— Dawniej nie przepadałaś za swo-

jem dzieckiem, wyrzekałaś nawet na nie, a kiedy je ludzie obcy przytulili, było ci bardzo na rękę pozbyć się ciężaru. Powiedzże mi, skąd się nagle wzięła ta czułość dla dziecka i jakaś osobliwa uraza do Budziny?

— Nie... nie wiem... — odrzekła, jąkając się Margiela, zmieszana i zalękniona.

— Ej, tylko ty jedna wiesz, co w twojej duszy siedzi; ale ciężko ci jest przyznać się do tego!... Ja nie wiem i, uchowaj Boże, nie chcę wiedzieć, co cię ciągnie do chałupy Budów!... Zapowiadam jeno, że pierwsza nazwę cię bisurmanicą ostatnią, jeżeli tam noga twoja postoi... jakem Boberska!

Pomywaczka ucałowała ręce babisi i skruszona wróciła do roboty.

Jeżeli ją kiedy potem ciągnęło co do chałupy Budów, przypominała sobie oczy bure, ostre słowa Agaty i nie poszła.

Są tacy, którzy się mogą powstrzymać, zwyciężyć; są inni, którzy nie mogą.

VII.

Kuchnia dworska w Gwoździeńcu miała niejakie podobieństwo do pola bitwy. Chodziło tam o utrzymanie życia ludzi; więc działano z pośpiechem ogromnym wśród zgiełku, wrzawy, szczęków różnego oręża, wykrzyków częstych.

— Aj! aj!... Boli!

No i... jęków konania. Gromady much roiły się latem, brzęcząc, obsiadały każdą rzecz jadalną, topiły się w ukropie garnków. W kominie huczały płomienie ognia sutego, który przytem trzaskał i strzelał na wszystkie strony. Turkot warzenia strawy różnorodnej sprawiał wrażenie turkotu wozów jadących po drodze kamienistej. Słychać było zgrzyt garnków suwanych po trzonie rozpalonym, syki tłuszczów sma-

rzonych, mięsiwa pieczonego, płynów kipiących. Rozkazy i przekleństwa wodza naczelnego mieszały się z odgłosem siekania, tłuczenia mięsa na stolnicy, ze zgiełkiem pękania lub rozbijania garnków, z błagalnym piskiem kur zarzynanych, z kwikiem prosiąt pod nożem. .

Kuchnia przygotowywała *pabulum vitae* dla pana, dla tak zwanych ludzi prostych i dla ostatniego rodzaju czeladzi — psów dworskich. Armia czynna składała się tu głównie z dwóch amazonek: Maryny, która wyglądała jak tęgi snop, uwieńczony makami polnemi, i — Margieli, przypominającej swą postacią świecę woskową okopconą.

Niekiedy pies zaskowyczał żałośnie, ponieważ był tak nierozważny czy zuchwały, że się nastręczył i naraził Marynie.

— Te psie-dusze żrą i żrą, a zawdy są głodne!

Innym razem rataj któryś albo pastuch — najczęściej Kuba Ozimek, wolarz, brzuch nienasycony i duch bun-

towniczy — odważał się wystąpić publicznie, jako stołownik ukrzywdzony w prawach swoich.

— Człowiek napracuje się ciężko, a morzą go głodem: dają żur jałowy, kartofle prawie bez okrasy, skwarek nie dogoni skwarka.

Na takiego Maryna wsiadała z góry, nazywała go »psie-mięso«, waliła w łeb albo trzaskała w gębę i bez ogródki, w mgnieniu oka wyrzucała za drzwi z impetem ogromnym, z łoskotem. Stawała się wtedy fioletowo - czerwona, grzmociła, tłukła wszystko, co jej wlazło pod rękę, a Margiela drżała ze strachu.

— Jezus, Marya, żeby ją też aby prędko złość ominęła!

Głodny pod tymi rządami mógł jedynie w skrytości ducha westchnąć sobie i pomyśleć:

— Oj źle, źle mi jest na świecie!

Podobno najgorzej było tam Margieli, a to z powodu nieustannych stosunków jej służbowych już z Maryną, już z Uliną, już z paniusią.

Maryna w złości — a o złość było łatwo — biła zwykle w łeb i tak, że chustka spadała z głowy na ziemię, ciało też częstokroć traciło równowagę i pomywaczka plackiem słała się na ziemi, wykrzykując głosem przerażonym:

— O rany boskie!

Ulina w gniewie posługiwała się najczęściej nogą, a miała nogę słonia. Margiela kopnięta zataczała się wtedy i z piersi jej wypadał okrzyk:

— Najsłodsze imię Jezus!

Życie pomywaczki liczyło się na takie dni bolesne, wieńczone koroną cierniową nabożeństwa z czkawką i szczypaniem do poduszki.

Te cierpienia codzienne, nieuniknione, powszedniały, zobojętniały Margielę, zamieniały ją na niewolnicę, uległą, cichą, cierpliwą.

— Daj Boże, aby tylko nie było gorzej!

Wprawdzie płakała czasem i serce o mało jej nie pękło z żalu nad tą niedolą straszną. Ale skoro nie pękło, musiała żyć dalej, znosić dolegliwości ży-

cia. Z początku płakiwała gorzko, wzdychała, jęczała, nie mogła sypiać po nocach. Niekiedy nawet dusza jej tak spokojna zdobywała się na potajemne szemranie z oburzenia, mruczenie wewnętrzne z niezadowolenia. Później, chociaż los w niczem jej nie sfolgował, godziła się w części ze swojem położeniem:

— Nikt nie daje darmo kawałka chleba.

Była to znana pociecha filozoficzna nędzarzy:

— Wszystko, co i jak jest, jest dobrze.

Pomywaczka, przytłoczona brzemieniem, a także pod wpływem nauk poczciwej babisi, poczęła nawet w głębi duszy zwalać na siebie samą winę za przecierpiane dolegliwości:

— Jestem zła, grzeszna i Pan Bóg mię za to karze.

Cała ludzkość cierpiąca kroczy po tej samej drodze: wzdycha, płacze w niezaradności, nareszcie ogarnia ją śpiączka — spodlenie duchowe. Bo zarody

dzielności tkwią w każdym człowieku i czekają na wyzwolenie; ale nadmiar nędzy, który codziennie łzy wyciska, płodzi płaczliwą pieśń skargi, a ta kołysze do snu, zamienia męża w niemowlę. Jest to może pancerz, odbijający ciosy z zewnątrz, i zarazem — obrona przeciw piekłu rozpaczy wewnętrznej nieszczęśliwych.

Na kuchni dworskiej w Gwoździeńcu był ten sam porządek, co w stajni i oborze: najniżsi zachowywali się względem zwierzchników z uległością ślepą, podobnie jak psy, konie, woły względem swych dozorców bezpośrednich. Nie było mowy o jakiemś wierzganiu, pokazywaniu zębów.

Kurczyński, dziedzic, zacierał ręce uszczęśliwiony.

— Dobrze idzie, słuchają!

Sam nie umiał rządzić, rozkazywać skutecznie, gdyż służba nie brała do serca poleceń wypowiedzianych głosikiem piskliwym i pochodzących od osoby nikłej.

— Pan Bóg nie stworzył go na pana

we dworze... Licowałoby mu lepiej sprzedawać tabakę albo siedzieć za szynkwasem.

Jeżeli naprzykład krzyknął z ganku rozkazująco:

— Wojtek, załóż mi konie do bryczki!... tylko natychmiast!

To Wojtek podrapał się w głowę, poszedł do stajni, usiadł i myślał:

— Cóż jemu znowu tak pilno? Dla mnie tam niema żadnej nagłości.

I zaprzęganie koni trwało nieraz dobrą godzinę.

Ale kiedy Ulina stanęła na dziedzińcu, a wzięła się pod boki i wrzasnęła:

— Wojtek, zaprzęgaj!

A po chwilce dodała:

— Jeszcze nie zaprzęgasz, dłubaczu zatracony? Może chcesz, żebym ci poszła pomagać? — wtedy spełniano rozkaz w ciągu pięciu minut.

To też Ciechoń mawiał:

— Dziedzic wypuszcza brytany na ludzi, każdy drży z lęku i przy dworze jest posłuch, porządek. Coby dobrego było na świecie, gdyby rządy

dostały się w ręce takich wyskrobków i zdechlaków, jak nie przymierzając Kurczyński i Margiela?

Pod obuchem nieubłaganym tych właśnie rządów pomywaczka zgałganiała już doszczętnie, zużyły się jej zdolności odczuwania, a odporność, słaba z natury, zanikła. Głos uczucia pogwałconego odezwał się raz jękiem z głębin duszy kobiety i zamilkł.

Miłość jest to piękna perła, która, tarzana w błocie, skala się, zabrudzi i przestaje być skarbem cennym.

Paniusia, Maryna, Ulina i ta Boberska zacna, jak papugi w klatkach, powtarzały Margieli nieustannie jedne i te same słowa:

— Módl się!

— Pracuj!

— Bądź posłuszna!

— Szanuj kawałek chleba, a pamiętaj, że ludzie są dobrzy!

Gromiona, przydeptywana, biedactwo, tak przycichła, zagłuchła, stępiała, że jeśli nawet kiedy na płacz jej się zebrało, nie wiedziała dlaczego płacze.

Teraz już zawsze ostatni policzek bolał ją i tylko dopóty, dopóki czuła ból na twarzy.

Modliła się z dnia na dzień, ale niebo nie zsyłało żadnej pomocy przeciw sile. Pracowała, była posłuszna, szanowała kawałek chleba, wierzyła w dobroć ludzi. Mimo to, bito ją bez litości, poniewierano. To cóż jej pozostawało zrobić? Czuć, o ile tylko można, jak najmniej.

Nie była w końcu już zdolna używać owej pociechy, jaką nieszczęśliwi znajdują czasem w marzeniach:

— Opatrzność ześle mi może kiedy szczęście... Zostanę gospodynią, kucharką dworką, dziewką do wszystkiego z władzą Uliny.

Po dwóch latach takiej służby, jedyne uczucie, które się rodziło i żyło w duszy Margieli, była to obawa wypadków nadzwyczajnych, takich, co to za nie odpowiedzialność straszliwie bolesna spadała na głowę pomywaczki. Wiedziała ona bowiem, że złość Maryny może być albo zwykła — codzienna,

albo większa niż zwykła, albo nadzwyczajna — zdarzająca się tylko parę razy w roku. A tym stopniom złości odpowiadały stopnie kary i cierpienia, przez złość sprawionego.

Pomywaczka przewidywała nawet wypadek złości, przechodzącej wszelkie doświadczenia dotychczasowe, i drżała na myśl taką. Już była odcierpiała karę nadzwyczajną za to, że psy zjadły parę funtów słoniny, a innym razem znowu, kiedy ktoś ukradł z kuchni rondel: dostała po łbie, w kark, za plecy i gdzie tam jeszcze, a, ma się rozumieć, wytrącono jej też z zasług wartość rondla. Ale Maryna mogła wpaść w złość jeszcze większą, zbić pomywaczkę jeszcze srożej i w dodatku spełnić swą groźbę tak często powtarzaną:

— Wygonię cię, myjaku, darmozjadzie, na cztery wiatry!

Margiela szanowała już kawałek chleba, przywykła do kuchni, jak pies do obroży.

— O mój Jezusienku, żeby mię też jeno nie wypędzili!

Kurczyński, który wiedział o wszystkich takich zdarzeniach, mógł zacierać ręce z zadowolenia i mówić zupełnie słusznie:

— Tylko tym sposobem można utrzymać ludzi w karbach!

Ni stąd ni zowąd przyjaźń brytanów zaczęła chłodnąć i przy dworze gwoździenieckim wytwarzały się dwa stronictwa wrogie. Przewrót stosunków, groźny dla interesów dziedzica, był, naturalnie, dla pomywaczki tajemnicą stanu.

Rzeczy tak się miały mianowicie. Niejaki Łuka Wroniec, parobek przebrany w surduty, pochodzący z wsi sąsiedniej Marcinowa, a krewniak Rudnika, ubiegał się o rękę Uliny. Ponieważ chodziło o zachowanie tajemnicy przed dziedzicem, przynajmniej przez czas jakiś, przeto zaloty odbywały się w chacie Michała Rudnika, szwagra narzeczonej. Skojarzenie tego małżeństwa zwęszyła odrazu Pukalina i, Bóg jeden wie dlaczego, postanowiła mu przeszkodzić. Umyślnie odbyła podróż do Marcinowa, przedstawiła Wrońcowi Uli-

nę w świetle jak najgorszem, a swatała go z Maryną.

— Człowieku — mówiła — nie zawiązuj sobie życia, nie top się z kamieniem u szyi! Z dobrego serca ci radzę, wstrzymaj się od tej żeniaczki! Nie będę ci wiele mówiła, masz sam oczy i rozum doskonały. Przypatrz się jeno Rudnikowej, tej Dorocie stodolastej, która obsypała chłopa dzieckami jak mrowiem!... Jakie tam ich pożycie, Boże litościwy! Swary, kłótnie, bijatyka... Michał myślał, że pojmie kobietę jak należy, gospodynię, pomocnicę w robocie, i oszukał się okrutnie: babsko gułaj, próżniak ostatni, kocmołuch, rodliwa tylko i nic więcej. No, a Ulina przecież to siostrzyczka jej rodzona! Ziółko, powiadam ci, ziółko!... Ty się może łasisz na wiano?... Myślisz, że od dziedzica dostaniesz za nią krowę, grosiwo jakie?... że ci wyprawią we dworze wesele, albo cię zrobią karbownikiem? Ale przy dworze Maryna dzisiaj wszystko znaczy. Uderz w zaloty do Maryny! To jest kobieta całą gębą

a moja w tem głowa, żebyś pojął babę rzetelną.

Wroniec uległ namowom Pukaliny, która w domu swoim ułatwiła mu zawiązanie stosunków bliższych z Maryną. Już pierwsza schadzka uwieńczyła powodzeniem nadzwyczajnem usiłowania Bartkowej. Parobek z Marcinowa znalazł w kucharce skarb cnót niewieścich, godnych kochania.

Maryna, kobieta uczuć ognistych, należała do rzędu takich, które się mocno trzymają chłopa i nie popuszczą skoro podbiły serce jego. Po drugiej schadzce byli z sobą zupełnie poufale, szli do ożenku drogą prostą. Więc kucharka chciała tym zalotom dać rozgłos.

— Po co tu ma być skrytość? — rzekła do swego zalotnika, a w głębi duszy bała się, ażeby jej Pukalina nie zrobiła jakiej psoty.

— Spłatała figla Ulinie, mogła i teraz urządzić to samo.

Wroniec był niestały w kochaniu, oświadczał się już niejednej, a kiedy przyszło co do czego, zwijał chorągiew-

kę. Taka Bartkowa przekabaciłaby go łatwo, gdyby zechciała. Czy to mało dziewek w Gwoździeńcu?

Otóż, kucharka bała się tego wszystkiego i powiada:

— Musimy się wyrwać z pod opieki Bartkowej... kręt baba! Jej dach nam nie jest potrzebny. Przychodź w każde święto prosto do kuchni, jak do własnego domu!

— Ha, dobrze!

Słuchy o tych zalotach już były gruchnęły między ludźmi i Ulina wrzała złością: wstyd dla dziewki, jeżeli ją parobek porzucił dla innej. Pukalina znowu, baba kuta, odrazu zmiarkowała, że para zaręczonych myśli sama sobie radzić. Niewdzięczność czarna Łuki strasznie ubodła kobietę, która szukała teraz przymierza z Uliną.

— Ulisiu — powiada — toć mi serce o kęs nie pękło z żałości, kiej ludzie zaczęli gadać, że ty chcesz się wydać za tego pędziwiatra.

— Po próżnu szklicie! Wiem o wszystkiem! U was sama obłuda na języku.

Lataliście do Marcinowa, oczernialiście mnie, Dorotę, a teraz mi cukrzycie... Tfu!

— Aa, o to ci zaś chodzi? — odrzekła Bartkowa i zaczęła się śmiać głośno. — No, moi ludzie, jak też to człowiek może najniewinniej wpaść w posądek! Chodziłam do Marcinowa, nie będę się zapierała. Nagadałam na ciebie umyślnie różności, jeno, widzisz, wszystko z dobrego serca.

— Jeszcze chcecie mydlić mi oczy? O ho!

— Słuchajże, Ulisiu, nie bądź głupia! Przychodzi do mnie kiedyś Świadkowski, młynarz z Poturały... wiesz, ten wdowiec, bogacz i powiada: Bartkowa, swatajcie mię; cni mi się bez baby. Ja mu na to: W domu waszym jedna tylko jest godna rządów, Ulina, dwórka!... Swatajcie mię z Uliną!... Niebożę moje, toć ona pono zaręczona... Swatajcie choćby nawet!... Cóż tu zrobić? Poszłam do Marcinowa, wybiłam cię Łuce z głowy... takie tam jego kochanie, dmuchnąć i zgaśnie. Utorowa-

łam Świadkowskiemu drogę, dzisiaj zaczynam swatanie.

Dziewka uwierzyła babie.

W taki sposób Bartkowa udobruchała Ulinę, oświadczając przytem, że wyraźnie zabroniła Wrońcowi i kucharce schadzek w swojej chałupie, gdzie będzie wkrótce przyjmowała Świadkowskiego.

Dziewki-brytany już były wymieniły pierwsze strzały — jedna drugą skległa publicznie na dziedzińcu od ostatnich, aż ludzie zatykali uszy, a Kurczyński pomyślał ze strachem:

— Źle! Porządek się psuje.

Nadeszły Zielone Świątki i Pukalina dała znać Ulinie, że zalotnik z Marcinowa przyjdzie do kucharki po południu.

— Możeby się dało zrobić mu jakiego psikusa?

Maryna nie mogła użyć nabożeństwa rano, gdyż musiała warzyć obiad; poszła do kościoła dopiero na nieszpory, a że była śpiewaczka zawołana i pierwsza w chórze, musiała więc dotrzymywać.

Po południu wszyscy się porozchodzili, tylko pomywaczka siedziała na progu, ponieważ jej zapowiedziano raz na zawsze:

— Bacz, dozoruj, żeby kto nie wszedł, nie ściągnął jakiego naczynia!

Ogromnie baczyła, bała się bardzo, ile że tam na kuchni ciągle opowiadano o złodziejach, zbójach.

Wkrótce po wyjściu kucharki zjawiła się tam Ulina, popatrzyła, zamknęła drzwi kuchni na klucz, który oddała Margieli z temi słowy:

— Różni wisielcy włóczą się po wsi przy święcie, a w kuchni pełno rzeczy... Uważasz, nie wpuść-że mi tu jakiego obieżyświata... niech Bóg broni!

Stamtąd poszła prosto do sadu, gdzie pod drzewem leżał Kuba Ozimek, rataj, nygus ogromny, który jeść i spać mógł w każdej chwili na zawołanie.

— Kuba — rzecze Ulina — miej oko na kuchnię, żeby tam kto obcy nie wszedł.

— Czy ja mam z kuchni jaki pro-

fit? — mruknął rataj, nieprzyjaciel Maryny.

— Mógłbyś mieć, gdyby do tego przyszło!... Jeżeli naprzykład pokaże się tu taki surdutowiec, a mówią, że chodzi po wsi, to nie pytaj, jeno wal uczciwie... Spraw się rzetelnie, dostaniesz na wieczerzę pół łokcia kiełbasy!

Z temi słowy odeszła; Ozimek zaś pomknął pod kuchnię, położył się na przygródce do słonka między psami i zaraz chrapnął.

Wtem nadchodzi jakiś człowiek w kaszkiecie, surducie, z papierosem w ustach, idzie prosto do Margieli, i zapytuje ostro:

— Czy jest kucharka!

— Niema.

— To dobrze! A któż jest w kuchni?

— Niema nikogo.

— Bardzo dobrze! Cóżeś ty za jedna?

— Pomywaczka.

— Doskonale!

Powiedział to i idzie do kuchni. Bierze za klamkę, spostrzega, że drzwi na klucz zamknięto.

— Ho, ho! Boicie się, widzę, złodziei — mruknął, popatrzył, a potem otwarł niedomknięte okno.

— Przyszedłem w odwiedziny — powiada — i nie będę wystawał za drzwiami.

Chlust, i wskoczył oknem do kuchni.

Serce w Margieli waliło młotem.

— Matko Boska, ratuj!

Ozimek razem z psami znajdował się po drugiej stronie domu.

Po jakiejś chwilce pomywaczka ochłonęła cobądź z przestrachu, zerknęła ukradkiem przez okno otwarte, widziała, że ten jakiś chodzi sobie po kuchni, rozgląda się w naczyniach, we wszystkiem.

— Dobryś! — pomyślała. — Gotów pozabierać co mu wpadnie pod rękę... Dolaż moja!... Będę miała za swoje, kiej Maryna wróci, zobaczy.

Puściła się, bieży w tę stronę, gdzie słychać chrapanie ludzkie. Spostrzegła rataja leżącego do góry brzuchem, budzi go, mówiąc głosem drżącym:

— Rany boskie, ktoś obcy wszedł

do kuchni i penetruje! Jużci pewnikiem złodziej!

Kuba przetarł oczy, ziewnął, nie chciało mu się ruszyć; ale przypomniał sobie kiełbasę, obiecaną przez Ulinę.

Wstał, idzie, zagląda do kuchni. Człowiek nieznajomy siedział za stołem i ogryzał gnat z pieczeni cielęcej tak chciwie, że chrupanie zębów dawało się słyszeć za oknem. Ozimek jednym susem znalazł się w kuchni i wręcz pyta:

— Skądże to taka śmiałość rozpierać się w kuchni dworskiej, jak w domu własnym?

— A tobie ki dyabli do tego?... Nie będę się sprawiał przed lada świniarzem!

Takie nastąpienie na honor do żywa ubodło rataja.

— Cóż znowu, żeby złodziej, czy co, deptał po człowieku!

Złość porwała Kubę, plunął w garść i tak namalował nieznajomego, że mu strącił z głowy kaszkiet, a gnat cielęciny upadł między psy, które także przez okno powskakiwały. Tamten, nie-

wiele myśląc, porwał miskę glinianą z mąką i rozbił o łeb rataja. Harmider ogromny stał się w kuchni. Dwaj chłopi zajadli przelewali krew, klnąc straszliwie; a psy znowu żarły się o gnat pod stołem. Poleciały skorupy z garnków, blachy na ciasto, druszlaki, patelnie, rondle, pogięły się, połamały.

Margiela przerażona w najwyższym stopniu biegała dokoła kuchni jak szalona. Zobaczyła Ulinę stojącą we dworze na ganku, bieży do niej zadyszana i zawołała tylko:

— O rany!

— Pędź żwawo do dzwonu, dzwoń na gwałt z całej siły!

Więc pomywaczka dopadła do dzwonu, który zwykle tylko na południe bywał w ruchu, zaczyna ogromnie dzwonić.

Ludzie z czworaków, ze wsi, z pola, biegną na głos dzwonu, myśląc, że pożar. Otoczyli kuchnię, patrzą — dziwowisko. Dopiero śmiech, drwiny, głównie z Wrońca, że to nie swojak, jeno obcy. Niektórzy wiedzieli o jego zalotach do Maryny i wydziwiali:

— Odechce mu się żeniaczki...

Kucharka też właśnie wracała z nieszporów, słyszała bicie dzwonu i biegła jak tylko mogła najprędzej. Po drodze wpadła na Margielę, która ciągle jeszcze dzwoniła, chociaż nie było potrzeby. Zapytuje, co się stało, a pomywaczka opowiada szczerze wszystko, podaje jej klucz od kuchni. Maryna stanęła w ogniu, gdyż serce jej mówiło, że to Łuka padł ofiarą mściwości Uliny. Wystrojona odświętnie, zła, okazała, pędziła raźno ku kuchni, a spódnice wykrochmalone furczały na niej i chrzęściły. Ludzie, widząc ją taką z daleka, pierzchnęli natychmiast.

Wpadła do kuchni, patrzy i widzi spustoszenie ogromne. Psy na jej widok pierwsze buchnęły w okno. Chłopi zziajani zaniechali już bijatyki: w jednym kącie Łuka trzymał się za nos, z którego krew siurczkiem płynęła, w drugim — Ozimek pluł zębami wybitymi, a trzymał się za oko. Kucharka wręcz skoczyła do rataja, a iskry sypały się jej z oczu.

— Cóż ty psie-mięso, masz za prawo bobrować mi tu po kuchni! — wrzasnęła głosem strasznym.

Nie czekając na odpowiedź, chwyciła go za kark, aż wybałuszył oczy, trząchnęła nim parę razy i wyrzuciła za próg z taką siłą, że zarył ziemię nosem. Zbliżyła się potem do swego zalotnika, chciała go zapewne pocieszać.

Ten spojrzał na nią okropnie, jak na wroga, podniósł z ziemi kaszkiet podeptany, wcisnął na głowę, splunął wzgardliwie, zaklął od powietrza morowego i poszedł. Maryna zaryczała z wściekłości, zerwała chustkę z głowy, rzęła o ziemię.

Właśnie na to weszła pomywaczka blada i drżąca.

— Aaa!

Wrzasnęła kucharka, widząc ofiarę, na którą może wywrzeć swą wściekłość.

— Zmowa z Uliną!

I rozżarta, zapieniona, sina ze złości, rzuciła się jak zwierzę drapieżne na biedaczkę. Nie spotkała najmniejszego

oporu, mogła poniewierać, tłuc, bić, ile wlazło i tak zrobiła.

Ciało, ten wątły domek duszy Margieli, pokryło się nowymi siniakami i guzami, dudniało od uderzeń, wydawało jęki, piski, stękania. Dusza jednak ma przywiązanie ogromne do swego mieszkania, nie łatwo je opuszcza.

Jeszcze na zakończenie — trzask-prask, kopnięcie i...

— Ruszaj precz na cztery wiatry!... Niech cię tu więcej oczy moje nie widzą!

Ręka kata wyczerpała swe siły i tylko język jeszcze usiłował zadawać duszy rany innego rodzaju.

Ale dziś ani »małpa«, ani »klapa«, »flondra« nie wywierały już na Margielę żadnego wrażenia. Doczekała się w kuchni dnia sądnego z piekłem plag, przekleństw, a bolało ją głównie to, że traci kawałek chleba. Płacząc, zanosząc się od łkań, szlochów, miała w głębi duszy przekonanie, że istotnie jest winna. Z tego powodu obawiała się ciężkich wyrzutów i łajań babisi.

Kucharka gniewnie tupała nogą, ręką ukazywała drzwi i powtarzała:

— Ruszaj precz!

Wypędzona na cztery wiatry, związała w płachtę obraz Częstochowskiej, trochę rupieci i poszła »wont« z kuchni. Idzie, popłakuje, myśli sobie:

Ludzie są dobrzy, podali mi rękę; a ja nie umiałam poszanować kawałka chleba.

Poszła do Boberskiej, koniecznie potrzebowała usłyszeć kazanie za to, co zrobiła:

— Oj ty, ślamazaro, do niczego!

— Jużci prawda, żem taka.

Tymczasem babisia pojechała na trzecią wieś do chorej i drzwi od izby zamknęła na kłódkę, a Mikołajka oddała organiście na opiekę.

Nigdzie nie miała schronienia i poszła, dokąd ją oczy niosły. Zajrzała na Pomarle, gdzie chałupa już się zupełnie zapadła w ziemię.

Wyszła w pola, ujrzała przed sobą świat szeroki i odetchnęła.

Pogoda była śliczna, prawdziwie wio-

senna; zdawało się, że i przyroda obchodzi święto uroczyste. Wszędzie pełno zieloności, drzewa owocowe i bzy kwitnęły po sadach, łąki pozłociły się jaskrami, kaczyńcami. Powietrze ciepłe tchnęło wonią, motyle i motylki latały na wyścigi, a wokoło brzmiały pieśni słowicze i skowroncze. Jutro — także święto; więc ludzie tem chętniej używają życia: chodzą po wsi, po polach, śmieją się, gwarzą wesoło, śpiewają.

Margiela sponiewierana, rozżalona, wymykała się miedzami od strony Pomarla, ażeby nie spotykać ludzi.

— Teraz pójdę kaj za światy!

Zapewne wiosna podszepnęła jej myśl taką i zrodziła pragnienie ucieczki.

Czasem jedna godzina obcowania z przyrodą pobudza człowieka do czynów niezwykłych.

Wtem natknęła się niespodziewanie na parę miłosną; Salka, dawna pomywaczka i jej zalotnik cackali się z sobą, jak para przepiórek albo kuropatw między łanami żyta. Szła koło nich, niby przez ogień, słyszała, że ta Salka

szczęśliwa rzuca za nią słowa obelgi i przekleństwa, urąga jej w myśl przysłowia:

— Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

— A niech tam! — pomyślała. — Moje szczęście, że się dziś nie rwie do bicia.

W łąkach ponad strumieniem różne dziewki gwoździenickie zbierały kwiatki i, kiedy się przeprawiała przez kładkę, poznały ją, zaczęły wołać ze śmiechem:

— Ciewy, to ta Margiela... małpa z Pomarla!

— Wielkie rzeczy! Małpa.. to małpa! — mruknęła spokojnie.

Poza strumieniem leżało pole Jantka i ścieżka przez miedzę prowadziła tamtędy właśnie. Pomywaczka spostrzegła z daleka, że na jej spotkanie idą: chłop, baba, a obok drepce dziecina w koszulce białej, z główką ubraną w chabry, maki polne.

Buda, Budzina i Margielka wracali z pola do domu. Magda przystanęła, patrzyła pod dłoń, poznała Margielę,

odwróciła się porywczo i rzekła do męża:

— Dopóki mię ta czarownica będzie prześladowała?

Natychmiast zboczyli, poszli brózdą czy przegonem na przełaj. Margiela przystanęła, wytrzeszczyła oczy za odchodzącymi, widziała tylko ponad kłosami żyta kapelusz czarny Budy i chustkę barwną Magdy. Wlazła na kopiec graniczny, wytężyła oczy i wśród zboża mignęła jej główka dziecka.

— Babisia dobrze mówi: u nich nic jej nie brakuje...

Westchnęła i poszła.

VIII.

Margiela przepadła bez wieści, nie było mowy o niej w Gwoździeńcu. Prędzej kto wspomniał stratę kury, podkowy uronionej z pod kopyta swej szkapy. Tylko babisia, kobieta zacności, kiedy jej opowiedziano o zajściu w kuchni i o zniknięciu pomywaczki, zawołała z żalem:

— A po cóż ona, głupica, uciekła? Jabym to wszystko przecież utarła, pogodziła i mogłaby spokojnie u dobrych ludzi jeść dalej kawałek chleba.

Egoizm wszelkiej gromady zachowuje w pamięci jedynie tych, którzy sobie zasłużyli na jej wdzięczność lub niewdzięczność. Pomywaczka pozostała dla rzeszy w Gwoździeńcu osobistością równie niehistoryczną, jak wróble, motyle,

żaby. Życie przejechało po niej, jak przejeżdżały wozy po błocie.

— Czy żyła, czy nie żyła... wszystko jedno — powiedziałby Tomek Ciechoń.

Bo nawet to dziecko, pozostawione na wychowku w chałupie Budów, nie miało żadnego powodu pamiętania o matce. Tak i kukułczę w gnieździe pliszek nie zna obowiązków wdzięczności dla matki rodzonej.

Dziewczynka dobrze rosła, była milutka na twarzy i w obejściu, a nad swój wiek roztropna.

— Bóg nieraz poskąpi czego jednemu dziecku, za to daje drugiemu więcej — mówiono.

Margielka skończyła już cztery lata życia, kiedy zaczęła powszednieć Jantkowej, kobiecie serca nagłego. Nie trzeba się dziwić temu, gdyż w chałupie Budów miało błysnąć szczęście, do którego Magda wzdychała przez tyle lat napróżno. Matka przewidywała, że potomek mający przyjść na świat spotrzebuje wszystkie zasoby uczuć macierzyń-

skich; więc już zawczasu skąpiła miłości swej dla kukułczęcia.

Jantek, przeciwnie, uczuwał dla córki przybranej coraz większe przywiązanie, jak gdyby chciał jej wynagrodzić to, co traciła ze strony Magdy.

Tak się rzeczy miały, kiedy pewnego dnia wpadła do chałupy Bartkowa Pukalina i puściła w ruch swój język, nie wiele myśląc o tem, co paplała. Najprzód obliczała wiek dzieci Doroty Rudnikowej.

— Ten chłopak jej najstarszy urodził się w sześć miesięcy po weselu.

Potem opowiedziała, że Łuka Wroniec już się zaręczył z Nastką Kołtunówną.

— Szukał, szukał, nareszcie znalazł swój swego! Czemu on się, głupi, nie ożenił z Uliną?

Z kolei rzeczy rozwodziła się nad sprawkami Mikołajka.

— Babisia będzie musiała kiedyś zdać przed Panem Bogiem ciężki rachunek za tego chłopaka... Niecnota jeden, toć on powyławiał na sidła gołębie kowala!

Odetchnęła na chwilkę — widocznie namyślała się, o czem jeszcze ma mówić. Wtem wzrok jej spoczął na Margielce, która siedziała przy oknie, wiązała kwiatki i rozmawiała z nimi półgłosem.

— Panie święty! — zawołała Pukalina. — Jaka też ta mała podobna do Jantka!

Budzina, która właśnie szyła pieluszki, spojrzała mimowolnie na dziewczynkę i rzeczywiście znalazła jakieś jej podobieństwo do męża. Tknięta tem do żywa, obrzuciła Pukalinę wzrokiem gniewnym, żachnęła się na nią z obu rzeniem:

— Cóż wy znowu bzdurzycie, sąsiado? Skądże tu jakie podobieństwo być może? Oj Bartkowo, Bartkowo, że też z waszej gęby zawsze jeno wyjdzie nic do rzeczy! Przecież wiecie, żem cudze dziecko przygarnęła z litości!

— A i nie wiedziałabym! — odparła Pukalina. — Wzięliście na wychowek dziecko tej Margieli... Któż temu winien, że mała jest podobniusieńka do

Jantka? Podobieństwo takie, wiadome rzeczy, bywa również z zapatrzenia.

— Z jakiego zapatrzenia? Czy to Jantek łazi po wsi, żeby się baby nań zapatrywały?... Wyrwaliście się z jednem głupstwem i pilno wam palnąć drugie.

Baba urwała rozmowę, widząc nagłość Magdy. Prosto stamtąd poszła do Rudnikowej, do Ciechońki, do Palikowej, a wszędzie mówiła:

— Musi w tem być coś takiego, skoro się Magda okrutnie sierdzi i nie chce słyszeć o podobieństwie Margielki do Jantka... No, no, ktoby pomyślał!

Każda z tych gospodyń czuła potem świerzbienie języka i ciekawość ogromną. Odwiedzały Budzinę, oglądały Margielkę na wszystkie strony, odbywały narady i jaka taka dawała się słyszeć:

— Nie chciałam wierzyć Pukalinie, myślałam, że na wiatr mówi; ale musiałam uwierzyć własnym oczom... Ktoby się spodziewał? Jantek chłop taki stateczny... Miało mu się też co podobać!

— Widzicie — tłómaczyła im Bar-

tkowa — ludzie okrzyczeli Magdę z urody więcej, niż jest w samej rzeczy... To jedno, a drugie... żadnemu chłopu nie trza dowierzać.

I Pukalina w jakiś czas potem znowu szła w odwiedziny do Magdy, musiała się wypaplać, opowiedzieć, co gospodynie gwoździenieckie mówią między sobą o Margielce.

— Jak mię tu żywą widzicie, tak prawdę szczerzuchną mówię: nie mogłam już wczoraj wytrzymać i setnie zmyłam głowę Rudnikowej. Kobieto, powiadam jej, wstydźże się obnosić po wsi takie bajdy! Usłyszy kto wasze gadanie głupie i z igły zrobi widły.

— A klempa jakaś, ciapa zatracona! — wołała Budzina, rzucając się w złości. — Dam ja jej! Zwołam od ostatnich, sponiewieram!

Byłaby zwołała, sponiewierała, gdyby nie Boberska.

— Magdaleno, duszo moja, do czego podobne jątrzyć się dnia dzisiejszego kobiecie w takim stanie? Cicho, sza, ani mru mru, niech Pan Bóg broni!

Już wszyscy we wsi mówili o podobieństwie nadzwyczajnem Margielki do Budy; a echo tych rozmów od czasu do czasu wpadało w uszy Magdy, zapalało jej nagłość. Sama nieraz mimowolnie wpatrywała się to w rysy wychowanki, to w rysy męża, im zaś pilniej porównywała oboje, tem większe podobieństwo uderzało ją w oczy. Około brwi nad prawem okiem dziewczynki widniała, mniej więcej wyraźnie, taka sama skaza, jaką miał Jantek. Drażniło to Magdę i zniechęcało do dziecka. Co więcej, Budzina trapiła się, widząc, że mąż pieści małą i dogadza wszystkim jej zachciankom. Z widoczną goryczą odzywała się nieraz:

— Mógłbyś zaprzestać już tych cackań! To jej nie wyjdzie na dobre!... Pamiętaj przecie, że wnet będziesz miał własne dziecko, które powinieneś kochać!

Buda nic nie odpowiadał kobiecie, a dla Margielki zawsze był dobry. Jakżeby mógł odepchnąć dziecko, które się garnęło do niego z całem zaufaniem?

Dziewczynka, skoro tylko ujrzała tatusia, biegła ku niemu rozpromieniona, czepiała się rąk jego, sukmany, szczebiotała wesoło; jeżeli siadł na ławie, właziła mu na kolana, obejmowała rączynami za szyję. Magda spoglądała dawniej z rozczuleniem na to przywiązanie małej, teraz dawała nauki:

— Słyszysz, smarkulo, daj ojcu wytchnąć! Urosłaś już, nie jesteś dziecko malutkie, żeby cię niańczyć.

Czasem daleko ostrzej fuknęła:

— Ruszaj na trawnik, bacz na gęsi! Niech będzie z ciebie w domu jaka wyręka!

Jednego razu popchnęła nawet dziewczynkę, która się rozpłakała. Buda wziął dziecko w obronę, powiedział żonie ostre słowo i przyszło do kłótni. Na szczęście zjawiła się w samą porę babisia, która powiedziała każdemu co należało:

— Pamiętajcie Magdaleno, że kobieta w takim stanie musi być ostrożna na każdym kroku!... Jakże też wy, Jantku, gospodarz stateczny, człowiek mający

rozum na wszystko, możecie robić sprzeciwę kobiecie w takim stanie!

Wzięła potem na bok Margielkę, położyła jej rękę na głowie.

— Smarkata jedna, ty nie molestuj ludzi starszych, którzy muszą rozmyślać o sprawach ważniejszych, nie o figlach z tobą! Rób tak, jak inne dzieci: pogrzeb sobie w piasku przed chałupą albo kaj w kącie ubieraj w płatki pałubę!... Nie wadzi w twoim wieku popaść gęsi; druga dziewucha, młodsza od ciebie, a umie i bydłu poradzić na błoniu, i wody ze studni przyniesie, i różne posługi koło domu czyni.

Ryć na kamieniu każde słowo wyrzeczone przez tę kobietę.

Dopiero Magda, widząc, jak Boberska dała każdemu naukę akuratną, odzywa się w te słowa:

— Jagato, moiściewy, chciałabym koniecznie pogadać z wami na osobności!

Więc babisia mrugnęła na gospodarza, dając mu do zrozumienia:

— Kiedy kobieta w takim stanie chce pomówić na osobności, to w izbie

nie powinien być żaden świadek rozmowy.

Buda wyszedł, a za nim Margielka markotna z powodu nauki, którą otrzymała od babisi.

Magda przez jakiś czas gładziła i tarła palcami podbródek, nareszcie rzekła:

— Czyście się też kiedy, Jagato, przyjrzeli dobrze tej naszej Margielce?

Babisia machnęła ręką i odparła z uśmiechem dobrodusznym:

— Mocny Boże, a po cóżbym ja się miała znowu dziecku przyglądać? Chybabym koniecznie szukała dziury w całem, jak ta osa Pukalina, która musi wszędzie nos wścibić i węszyć, czy jej się nie uda jakabądź psota. Niema co mówić, udało jej się z wami, Magdusiu! Przecieżem ja nie głucha, wiem dobrze, o czem baby mówią po chałupach, i dawno chciałam sama pogadać z wami... Ale myślałam sobie, szczerze powiadam, Magda, kobieta mądra, nie potrzebuje moich perswazyi i waży lekce gadanie głupie. Człowiek do człowieka jest podobny, wiadome rzeczy. Widziałam ja

już nieraz takich sobowtórów, żem nie mogła odróżnić jednego od drugiego. No i cóż z tego? Przez głowę mi nawet nie przeszło jakieś ich pokrewieństwo... I wy, Magdaleno, drwijcie sobie z takich rzeczy!

Budzina uspokoiła się niby-to, pragnęła wierzyć w prawdę słów Boberskiej i wmawiała w siebie, że wierzy. Jednakże widok Margielki obudzał w niej niechęć tajemną, odrazę do dziecka, z czem się nie zwierzała przed nikim.

Wkrótce po owej rozmowie, jakoś około południa, babisia przyszła do Budziny, przyprowadziła z sobą synka i rzekła do Margielki:

— Zbierz się, pójdziesz z Mikołajkiem na wieś, w łąkę, obejrzysz sobie kościół, dwór, nazbierasz kwiatków!

Dziewczyna patrzy zdziwiona, nie rozumie, dlaczego ją wyprawiają z chałupy. Chłopak zaraz chwycił małą za rękę, wyprowadził na podwórko i rzekł:

— Ty się, głupia, nie ociągaj, jeno idź, kiej ci każą! Rzeczy się tu będą działy, których taka smarkata nie po-

winna widzieć... Skoro wrócisz do domu, zastaniesz tam małe Budziątko i starsi ci powiedzą: bociek je przyniósł! Mnie tam to nie dziwo!

Uśmiechnął się pogardliwie, gwizdnął na Chwytka i zawołał:

— Pójdź!

Ale pies zerwał już przyjaźń z Boberszczakiem i teraz ruszył się z legła tylko dlatego, że widział Margielkę idącą razem z tym urwisem.

Szli ścieżką około chałup gęsiego: chłopak na przedzie, pies na końcu, mała w środku rozmyślała sobie o boćku i o małem Budziątku, a była bardzo ciekawa ujrzeć je jak najprędzej.

Tymczasem Mikołajek pokazywał Chwytkowi już to koty wysiadujące pod ścianami chałup, już psy wałęsające się po drodze i szczuł:

— Huź-go!

Chwytek nie mógł się oprzeć pokusie, gonił za kotami, wpadał nawet w zapalczywości do sieni, do izb gospodarskich, przewracał psy i żarł się z nimi. Powstał z tego we wsi hałas,

gwałt ogromny, gdyż wszystkie psy, ile ich było w Gwoździeńcu, ujadały zawzięcie! Baby i dzieci wychodziły przed domy, patrzyły, co się dzieje, a jedna-druga zaklęła brzydko.

Margielka o mało się nie spaliła ze wstydu, nie mogła znosić tego; więc przyzwała do siebie Chwytka, zapowiedziała mu, żeby szedł spokojnie przy jej nodze. Pies usłuchał jej i już nie zważał na to, co mu chłopak rozkazywał.

— Rakulo jedna, ja cię nauczę!... Będziesz mi ty psa bałamuciła! Ja tu jestem nad tobą!

Mówiąc to, spojrzał na nią tak szkaradnie, że ciarki przeszły dziecinę. Wyprowadził małą na łąkę, gdzie nad strumieniem wierzby rosły szeregiem długim i rzecze z drwinkami:

— Musisz wyleźć na wierzbę, powiedzieć, co stamtąd widać!

Ta się zalewa łzami, a on ją bierze, podsadza, woła:

— Gramol się żwawo!

Kiedy się uczepiła rączynami gałęzi, chłopak wepchnął ją na głowę wierzby.

– Siedź-że tam sobie — powiada — dopóki Bociek nie przyniesie Budzinie dziecka!

Potem przyzywał Chwytka, chciał się z nim puścić w pola; ale pies ani myślał odstąpić od wierzby, na której Margielka siedziała, popłakując.

Boberszczak odszedł i dopiero o zmierzchu wrócił zadyszany, podpierając się żerdzią długą, a miał w zanadrzu moc jabłek, śliwek, — ograbił widać sad cudzy.

Przystawił ową żerdź do wierzby, kazał dziewczynie zsunąć się na ziemię. Margielka nie umiała tego zrobić, spadła, potłukła się, okulała na nożynę.

— Tylko tam w domu nie piśnij słówka o tem, co cię tu spotkało! — zapowiadał jej ostro. — Oj, napędziłbym ja ci bobu, miałabyś za swoje!

Mała drżała ze strachu, jak liść osiczyny.

Nareszcie wrócili do domu, wchodzą do izby — cichuteńko tam było. Bu-

dzina leżała na łóżku blada, z oczyma zamrużonemi, z głową opasaną w szmatkę białą przez czoło. Boberska z rękami zakasanemi poza łokcie, krzątała się po izbie, suwając nogi ostrożnie. Jantek, jakby wykuty z kamienia, siedział spokojniutko na ławie, spoglądał to na Magdę, to na stojącą przy jej łóżku kołyskę.

Widać szmer wchodzących sprawił, że Jantkowa otwarła oczy, spostrzegła w mroku Margielkę i zaraz odwróciła głowę.

Babisia i Buda z palcem na ustach posyknęli cicho »pst« i dziewczynka nie śmiała się już poruszyć. Tylko Mikołajek dosyć hałaśliwie umknął z progu, a po drodze kopnął Chwytka w sieni.

Właśnie tego dnia uroczystego bocian przyniósł Magdzie synka. Na trzeci dzień ochrzczono malca imieniem Jacuś i babisia rzekła z powagą wielką do Margielki:

— Pamiętaj sobie, żebyś go kochała! Zawsze przy każdym pacierzu proś Pana Boga o zdrowie dla tego dzieciątka!

Wiedz, że on jest prawie jak twój braciszek rodzony.

Magda to posłyszała, żachnęła się na łóżku:

— Jagato, co wam znowu przyszło do głowy? — zawołała. — Skąd tu jakie rodzeństwo być może? Ona powinna wiedzieć, że jej matką jest Margiela, żem ja wzięła ją tylko na wychowek, przytuliłam z litości.

Dziewczynka stanęła w ogniu: już ton mowy i ogromnie złe oczy Budziny podrapały jej serce, nie mówiąc o słowach twardych. Ona tak kochała maleńkiego Jacusia, jakby świętość jaką, a tu dawano jej do zrozumienia, że ona nie ma prawa do kochania.

Później, ile razy malec zaskrzeczał w kolebce, Margielka pierwsza biegła, kołysała, przyśpiewując; ale jednocześnie spoglądała z trwogą w oczy Magdy.

— Może mi nie wolno?

Zdarzyło się raz, że przez pośpiech szarpnęła nieostrożnie krajką, przywiązaną do brzegu kolebki, i Jacuś ze

wszystkiemi swemi betami wysypał się na ziemię, narobił wrzasku ogromnego.

— Jezus Marya, straszne rzeczy!

Mała zaczęła ratować dziecko, przytłoczone siankiem i pierzynami. Na to wpadła do izby Budzina, miała iskry w oczach. Zrobiła porządek z dzieckiem i wręcz zabrała się do Margielki.

— Najduchu śmierdzący, będziesz mi ty rozbijała dziecko!

Teraz nagła Magda nie umiała się już powstrzymać w zapalczywości, szarpała, trzaskała dziewczynkę i nareszcie wypchnęła ją za drzwi, wykrzykując z pianą na ustach:

— A wara ci zbliżać się do mojego dziecka!

Margielka już i tak od jakiegoś czasu czuła się w domu jak obca, a po tem zajściu zupełnie straciła śmiałość, była nieszczęśliwa.

Boberska, która tam często bywała, spostrzegła widać, co się święci, chciała naprawić złe i wystąpiła z przemową do małej:

— Poskocz żywo, chwyć gospodynię

pod kolana, ucałuj jej ręce! To przecie opiekunka, dobrodziejka twoja, zastępuje ci matkę rodzoną!

Dziewczynka natychmiast zrobiła, jak jej zalecono.

— Ha no, niechże, niechże! — odpowiedzia Budzina, rzekomo zmiękczona pokorą dzieweczki; ale nie odmieniła swego serca i małej sfolgowała głównie dlatego, że babisia była jej orędowniczką.

Jantek nie okazywał wprawdzie niechęci Margielce, był jej zawsze przychylny; jednak, zupełnie teraz zawojowany przez babę, nigdy tej życzliwości nie pokazywał po sobie, chociaż nawet widział pokrzywdzenie sieroty.

Tylko jeden Chwytek pozostał przyjacielem niezmiennym i szczerym dla małej, która z każdym dniem czuła dolegliwiej swą niedolę.

Dwa lata, mniej więcej, upłynęło od przyjścia na świat Jacusia i bocian znowu przyniósł dziecko do chaty Budów, jak raz w dzień świętej Łucyi. Babisia

szczęśliwie prorokowała córkę i córka, Łucka się urodziła.

Magda, matka parki dzieci, zobojętniała jeszcze bardziej dla Margielki, krzywdziła sierotę na każdym kroku, szturchała, popychała, łajała. Jednego dnia przysiada się do Boberskiej, schlebia jej, głaszcze swój podbródek i powiada:

— Jagato moiściewy, jakby tu spenetrować, gdzie się też obraca ta Margiela, pomywaczka?... Umyśliłam sobie oto, że podług przykazania Boskiego dziecko powinno być przy matce i ja mogę mieć grzech ciężki na sobie, że tu trzymam tę Margielkę, która przecież ma matkę rodzoną... Zrobiłam swoje, odchowałam sierotę, niechże ją sobie na pociechę matka teraz zabierze z prawa! Widzicie, ja mam dzieci, nie potrzebuję cudzych. Powiem wam też, prawdę wyznając, nie lubię tej małej, nie wierzę, aby z niej co dobrego było... Sami to wiecie, Jagato, że dziecko takie nieślubne, zmazane grzechem, nie nosi na sobie błogosławieństwa Bożego i może

jeszcze na moje dzieci sprowadzić co złego.

Dopiero babisia tak jej odpowiada:

— Bóg jeden wie, co się stało z Margielą! Mogę wam tylko powiedzieć, moja Magdusiu, że za opiekę nad sierotą Pan Jezus szczodrze was wynagrodził: przygarnęliście jedno dziecko cudze, macie teraz dwoje własnych. Cóż z tego, kiedyście zrobili dobry uczynek tylko do połowy i już chcecie pozbyć się sieroty! Biedne dziecko zmarnieje pewnikiem, jeżeli je rzucicie... Nie radzę wam, Magdaleno, doświadczać gniewu bożego za zgubę duszyczki chrześcijańskiej.

Przemowa babisi zawstydziła Budzinę, ale nie wyszła na dobre Margielce. Jantkowa uważała dziewczynkę za kulę u nogi: ciężko z nią żyć, a pozbyć się nie można.

IX.

Duch Magdy trząsł domem samowładnie: Jantek, uszczęśliwiony ojcowstwem, ani pomyślał o tem, żeby się babie sprzeciwić w najmniejszej rzeczy. Pracował ciężko, dawał pieniądze na każde zawołanie; ale nie śmiał nigdy spierać się z kobietą i czuł, że w chałupie trzeba zgadywać myśli żony. Margielce nie dokuczył słówkiem najmniejszem i w gruncie rzeczy był dla niej zawsze tatusiem dobrym; tylko nie śmiał przy Magdzie otwierać serca i udawał obojętnego, obawiając się wyrzutów, zakłócenia spokoju.

Dziewczynka odczuwała doskonale, co się święci, schodziła matusi z oczu, nie narzucała się tatusiowi. I tak, dwa serca, ożywione uczuciem miłości wza-

jemnej, nie używając słów, umiały się porozumieć tajemnie.

Pomiędzy Jantkiem a jego córką przybraną istniał rodzaj spisku skrytego.

— Kochamy się, chociaż nam nie wolno.

Buda widocznie robił sobie nawet niejakie wyrzuty z powodu tego tajemnego przywiązania, zabronionego przez Magdę. Częstokroć ostro zgrzytnął na Margielkę, która zdawała się rozumieć, że tatuś czyni to dla pozoru wobec matusi zawsze gniewnej. Naturalnie, dziecko nie pojmowało owej walki, jaką Buda staczał w głębi duszy sam z sobą.

— Ślubowałeś kobiecie wiarę przy ołtarzu, przysiągłeś jej przed Bogiem, że będziesz jedną duszą w dwóch ciałach i nie dotrzymujesz!

Wołało nań sumienie i wtedy ofukiwał Margielkę. Ale wnet potem łajało go znowu sumienie człowieka ludzkiego:

— Za cóż się ty pastwisz nad dzieckiem dobrem, biednem, nie mającem żadnej obrony? Samolubstwo rodziny i miłość bliźniego, uczucie społeczne!

W sercu Budy odzywał się może i nieuświadomiony głos ojcostwa.

Bywało, Jantek pracuje w polu i widzi z daleka, że mała niesie mu śniadanie w dwojakach. Wśród zieloności niw widniała główka jasna, ubrana w kwiatki, a poza nią pies srokaty z ogonem wzniesionym. Coś takiego niewoliło gospodarza do ciągłego wybiegania wzrokiem na spotkanie dziewczynki. A kiedy już przybyła i powitała go ucałowaniem ręki, zasiadał śniadać z twarzą pogodną, a głosem dobrym zapytywał.

— Jakże tam w chałupie?

Nigdy nie dojadł, zostawił zawsze trochę śniadania w dwojakach, jak gdyby wiedział, że to nie dojedzone po nim najlepiej jej smakowało. Potem spoglądał za odchodzącą i widać było myśl tę z jego oczu.

— Bardzo lubię tę przylepkę małą! Dziewczyniątko dobre, milutkie, zwinne... Pewnie będzie z niej kiedyś i robotnica setna!

No i według obyczaju żegnał się

znakiem krzyża, poprawiał czapkę na ucho, prowadził dalej świętą robotę chłopską: orał, siał albo żął, kosił. Rycerz bohaterski ziemi, choć bez pancerza! Ocierał rękawem koszuli pot z czoła, a powtarzał w myśli przy orce: Ziemia pachnie chlebem!

Margielka sama uważała siebie za istotę jakąś niższą, niż Jacuś i Łusia, dla których wszystko było w chałupie. Kochała, uwielbiała tę parkę dzieci z całego serca. Nawet myśląc o nich, powtarzała sobie w duszy zwykłe słowa Budziny:

— Moje miliony, skarby!

Była niezmiernie szczęśliwa, kiedy sobie w skrytości wspomniała:

— Mam braciszka, siostrzyczkę!

A bała się wyznawać to głośno. Wyobrażała sobie nieraz, że pieści, całuje te pulchne, bielutkie, gładkie jak jedwab, ciałka dzieciaków. Uśmiechała się wtedy sama do siebie, przymrużała oczka z rozkoszy. Cóż kiedy w rzeczywistości nie mogła się cieszyć niemi: matusia nie pozwalała. Budzina wyraźnie odsu-

wała ją od dzieci, miała wstręt, ażeby »bękart« dotykał ślubnie urodzonych.

Przybrana córka pasała teraz na błoniu krowy, gęsi i kiedy wracała do domu, łaknęła Jacusia i Łusi, jak głodny chleba. Ale matusia zawsze znalazła dla niej jakąś nową robotę poza domem.

— Czy nie słyszysz, że jarzębatka gdaka? Biegnij, zobacz, gdzie zniosła jaje!

— Oj, jak też to trzoda głodna kwiczy! Bierz sierp, płachtę, narznij co żywo pokrzyw!

— Przynieś ze strugi wiaderko wody!

— Wyszoruj piaskiem i wyparz wrzątkiem garnki na mleko!

I tak było ciągle.

Dziewczynka od siódmego do jedenastego roku życia wykonywała coraz trudniejsze roboty, dobrze się wysługiwała w chałupie. Zawsze spełniała rozkazy matusi tak szybko i dokładnie, że nagła Magda, chcąc nie chcąc, w poczuciu sprawiedliwości musiała jej czasem rzucić pochwałę: »Dobrze!«

Nadzwyczajnie uszczęśliwiało dzie-

wczynkę to »dobrze«. A ileż radości doznawała, jeżeli kiedy tatuś zapomniał się i z dobrocią w oczach położył rękę na jej główce, jak gdyby zamierzał pogłaskać.

Żywcem brała do serca poważne nauki babisi, ogromnie się przejmowała niemi, i słuchając miała nieraz łzy w oczach Wyraz »sierota« zawsze ją usposabiał rzewnie, pobudzał do płaczu.

— Musisz się nauczyć — smarkata taka — szanować święcie starszych, a głównie tych, którzy ci dobrze czynią! — rozwodziła się Boberska swoim głosem chrapliwym, brzmiącym bardzo uroczyście w duszy Margielki.

— Nie spotkasz już na świecie dobrodziejów większych nad Jantka i Magdalenę. Oni cię, biedactwo ostatnie, przygarnęli, wychowali uczciwie jak córkę rodzoną... Kara boska spotkałaby cię, gdybyś o nich zapomniała przy pacierzu. Jesteś sierota, a nie potrzebujesz czuć doli sierocej przez to, że dokoła ciebie są ludzie dobrzy.

Nauki takie i tym podobne wcho-

dziły w serce naoścież dla nich otwarte, niewinne, szczere, ciepłe, dobre i z nich powstał skończony systemat moralności ludzkiej. Z tejże samej studni mądrości nic a nic nie przylgnęło do Mikołajka.

Niema na świecie wdzięku większego nad dziecko niewinne, które szczerze a poważnie stawia moralne zadania życia. Ani mędrzec, ani artysta nie wzniosą się do tego ideału, jeśli niewinność dziecka nie spoczywa na dnie ich duszy. Któż umie być rzetelnie moralnym, nie wątpić i czuć w sobie szczęście życia?

Pysznie wyglądała ta dziewuszka na błoniu wśród bydła, rówieśnych pasterzy i pasterek! Ubrana w krótką, barwną spódniczkę, z której dawno wyrosła, bosa, ogorzała od słońca, śliczna. Główka zawsze w kwiatkach, z włoskami konopiastymi, zebranymi w warkoczyk jak mysi ogonek, zakończony wąziutką wstążeczką.

Oczka modre zachodziły jak gdyby łzą, a z drobnych ustek piosnka nie

schodziła i zawsze je ożywiał uśmiech szczęścia dziecięcego.

Kiedy z kościoła gwoździenieckiego dźwięki dzwonu »na Anioł Pański« doleciały na błonie, Margielka stawała się poważna, jak kobieta dojrzała, i rączką dawała znak pasterzom, ażeby przyklękli. Umiała się oburzać, wyciąć naukę na sposób babisi, jeżeli który z chłopców robił krzywdę bydłu, albo — coś takiego, czego starsi zabraniają robić. Dzieci szanowały i kochały tę małą.

Że każdy na błoniu musiał mieć jakieś przezwisko, więc i Margielkę zwano »Konopka« — zapewne od główki. Głównie jeden z pasterzy, dwunastoletni Franek, syn Rudnika, przezwany »Buła« z powodu twarzy pyzatej, dałby się zabić za Konopkę. Za to Margielka ogromnie się bała Boberszczaka, który ile razy ją spotkał, zawsze powiedział jakie słowo brzydkie, a nie, to wydrwił dziewczynę, czasem i zaciął boleśnie witką po bosych nożynach. Pasterze ujęli się za nią jednego razu i ścięli

Mikołajka biczami. Nie pomogło, dokuczał jej potem jeszcze bardziej.

Słyszała ona nieraz, jak ludzie mówili: »Idź do licha ciężkiego!« »Licho nadało!« »Bodaj cię licho wzięło!« I wyobrażała sobie, że ten jakiś tam lich, czy licho, musi być coś podobnego do Mikołajka. Trzęsła się ze strachu na myśl, że lich zastąpi jej drogę, rozpędzi na wszystkie strony krowy, gęsi, a ją samą wyszturcha niemiłosiernie, wytarga za warkoczyk albo wrzuci do rowu.

Matusia złości się, swarzy potem, że bydło nie ma dozoru... A tu nie można powiedzieć prawdy... Babisia okrutnie nie lubi, kiej kto podwodzi na jej synka.

Boberszczak wyrósł na dryblasa i nicponia. Przez dwa miesiące był w terminie u kowala i tam mu się nie spodobało.

— Nie chcę dmuchać całe życie na żelazo rozpalone! — powiedział i napierał się do miasta. Więc babisia oddała go naprzód do felczera, potem do

piekarza, do stolarza. Nigdzie nie był dłużej nad parę miesięcy. Za każdym razem wracał do Gwoździeńca, chodził po wsi z papierosem w zębach, zbijał bąki. Wyrósł i zaczął się umizgać do dziewczyn. Ludzie krzywo nań patrzeli, a Tomek Ciechoń często powtarzał:

— Nie wiadomo, na czem skończy... Zaraził się w dodatku miastem!

Spostrzegła Boberska, na co się zanosi, użyła całej siły swej wymowy, ażeby synka nakłonić do pracy. Przemawiała długo, a cała przemowa jej wyrażała myśl taką:

— Bądź czem ci się podoba, tylko miej w ręku pewny kawałek chleba! Niech ja za życia doczekam się tej pociechy!

On wysłuchał i powiada:

— Chleb będzie, jeżeli sami zechcecie! Ożeńcie mnie z córką gospodarską i koniec! Kaśka Ciechoniówna wyszłaby za mnie, jeno stary pewnikiem byłby przeciwny.

Kobieta skamieniała.

— Synu — powiada — toćby mnie

Ciechoń albo wydrwił na nice, albo za drzwi wyrzucił!

— Idźcie i spróbójcie.

Ma się rozumieć, nie poszła.

W jakiś czas potem babisia znowu go nasiadła i tak się rozczuliła, że wybuchła płaczem. Udał pokorę, obiecał poprawę, gdyż w taki sposób zawsze wyłgiwał od niej pieniądze.

— Zostanę organistą — mówił — i teraz się już nie cofnę.

— Kiedy chcesz, bądź organistą! I to daje kawałek chleba.

Ale organista był pijak i nauczył Mikołajka zaglądać do kieliszka.

— Nie mogę zrozumieć, co się zrobiło z tym chłopcem — ubolewała babisia. — Ma serce dobre, rozum na wszystko, zdatność do każdej rzeczy, a nigdzie nie może zagrzać miejsca.

Bo Mikołajek w pół roku porzucił organistę, znowu prowadził życie próżniackie. Właśnie w tym czasie zdarzył się wypadek, który wykurzył nareszcie nicponia z Gwoździeńca. Tomek Ciechoń albowiem, widząc natarczywe umi-

zgi Boberszczaka do Kasi, umyślił sobie raz położyć temu koniec.

— Muszę mu kijem wybić z głowy te amory!

Otóż, chłop zasadził się z wicią tęgą i w dobrej chwili wypisał na skórze umizganta dziesięć przykazań boskich. Gruchnęło to po wsi, okryło urwipołcia śmiesznością. Babisia rozżalona przestała od owego czasu mówić, że w Gwoździeńcu są ludzie dobrzy i miała do Ciechonia urazę ciężką.

— Głupiec stary, nie pamięta, że sam był młody!

Teraz Mikołajek drapnął ze wsi i wstąpił do wojska jako ochotnik.

— Wrócę ja tu niedługo na koniu, z pałaszem, z pistoletami... Niech się Ciechoń strzeże!

Jakoż służył w konnicy, a słał do matki list za listem z prośbą o pieniądze i pogróżkami dla Ciechonia. Ciechoń drwił z tych gróźb, a Boberska ostatni grosz wysyłała wojakowi, który zawsze ją umiał wzruszyć.

— Przyślijcie pieniędzy, bo się na

srogą wojnę wybieram! — tak pisał, chociaż nie było żadnej wojny. Innym razem znowu wzruszał ją złym stanem zdrowia, niedolą swoją, straszył, że sobie odbierze życie. Znękał kobietę do szczętu.

Tak się miały sprawy w Gwoździeńcu w czasie, kiedy Margielka skończyła dziesięć lat życia, a matka przybrana stawała się dla niej z każdym dniem gorsza. Bolało i korciło to Budzinę, że Jacuś im więcej podrastał, tem podobniejszy był do Margielki: oboje — para prześlicznych dzieci, a jedno tak podobne do drugiego, jak kropla wody do innej kropli. Każdy na rzut oka musiał uznać za rodzeństwo Jacusia i tę Konopkę. Łusia, zupełnie co innego, brzydactwo ostatniego stopnia.

Pukalina rozdrażniła nieraz Magdę swojemi uwagami o dzieciach.

— Jabym się nie martwiła Łusią, będąc na waszem miejscu! Mała z wiekiem może jeszcze wyładnieć.

— Dla serca matki dzieci są zawsze piękne! Nie potrzebuję waszej pocie-

chy — odpowiadała opryskliwie Jantkowa, zła, że sąsiada zwraca uwagę na brak urody Łusi, co właśnie stanowiło zgryzotę macierzyńską. Sąsiada po to przyszła, ażeby ugryźć i odchodziła zadowolona.

Jednego dnia ugryzła daleko dotkliwiej — w samo serce.

— Moiściewy — powiada — toć Jacuś ma nad prawem okiem takutenieczką skazę jak i wasz Jantek!

— Czy to dziwota jaka, że syn ma na sobie znaki ojca? — odrzekła Budzina spokojnie.

— Z ojca albo też z zapatrzenia, jak, nie przymierzając, ta Margielka, która jest kukek w kubek drugi Jacuś, a oboje razem... wykapany Jantek Buda.

Magda bardzo często w skrytości ducha porównywała owe trzy skazy na trzech głowach, dręczyła się ich podobieństwem i teraz, jakby schwycona na gorącym uczynku, mimowolnie spłonęła ogniem. Wnet się opamiętała, fuknęła:

— Tfu, do paralusza! Cóż wy mię ciągle nachodzicie i wtrącacie się w nie-

swoje rzeczy? Ki dyabli wam do moich dzieci i do mojego chłopa? Fora ze dwora!

— Oo, a przez cóż wam też znowu tak markotno, Magdaleno! — mówiła Bartkowa, udając dobroduszność. — Ja wam mówię z dobrego serca, a wy zaraz w gniewy... Co się stało, to się nie odstanie, choćbyście tu nawet pękli!

— Zejdź-że mi z oczu, ty bajczarko, obłudnico! Bo jak mi Bóg miły!... — wołała Magda wściekła i poskoczyła do sąsiady, zaciskając pięści.

Bartkowa umknęła co tchu i dopiero za drzwiami jęła pokrzykiwać:

— Ktoby się zaś dziwił, że chłop wolał wycierucha ostatniego, drapakę, niż ją, piekielnicę, lucypera!... Gdybyś ty była kobieta, jak Bóg przykazał, toby on z pewnością nie gonił za innemi! Pojął cię dla wiana... o!

Pobiegła do sąsiadek, rajcowała z niemi o wadach Jantkowej, powtarzając:

— Wycięłam jej prawdę!

Nagła Magda, rozjątrzona w najwyższym stopniu, zamierzała już wybuchnąć

płaczem, co ją zawsze uspokajało, kiedy do izby wszedł Buda. Chłop już na progu zwrócił oczy na synka, który z wyciągniętemi rączkami biegł do tatusia.

— Ma dobrą wagę! — rzekł Jantek, podnosząc malca w górę. — Bez mała tak czuję, jakbym dźwignął ćwiartkę pszenicy... — i uśmiechnął się dobrodusznie, uszczęśliwiony, że chłopiec ma wagę.

Jacuś lubił się bawić kapeluszem ojcowskim, wciskał go sobie aż na oczy i, zapewne nauczony przez starszych, powtarzał głosem dziecięcym z dumą:

— Jestem Jacenty Buda, gospodarz!

Więc Jantek, nic o tem nie wiedząc, że się baba dąsa, przysiadł na ławie, zdjął z głowy kapelusz i oddał go synkowi.

Magda, zła jak osa, spojrzała właśnie na obnażoną głowę męża i spostrzegła ową nieszczęśliwą skazę nad okiem prawem — przedmiot ciągłego niepokoju. Ta kobieta od jakiegoś czasu miała nieustannie w myśli swej trzy skazy:

Jacusiową, która się zarysowywała barwą gliny, Margielczyną, jakby nieco przykopconą i — mężowską, czarną z połyskiem smoły. Wszystkie trzy ciągnęły się w jednym i tym samym kierunku, zachodząc nieco na czoło ku skroniom.

Budzina zbliżyła się teraz z oczyma surowo utkwionemi w znamieniu nad okiem męża.

— Jantek! — rzekła niby spokojnie, tłumiąc w sobie wrzącą burzę gniewu. — Czyś też ty kiedy przyjrzał się samemu sobie?

— Albo co? — odparł i skierował swój wzrok dobroduszny na żonę.

— Pytam cię, to odpowiadaj, jak należy!... Widziałeś ty kiedy swoją własną gębę?

Zapytanie z ogromnym naciskiem w głosie i ogniste spojrzenie Magdy sprawiły, że Buda spuścił oczy i odpowiedział zbywająco:

— A po cóżbym się zaś przyglądał swojej gębie? Musiałbym chyba nie mieć nic do roboty.

— Ty mię nie zbędziesz faramuszkami! — zawołała, poskoczyła żywo do swej skrzyni, wydobyła zwierciadełko, a przedstawiając je mężowi, nalegała:

— Spójrz sobie w oczy dobrze! Widzisz tę skazę nad prawem okiem?

Jantek po raz pierwszy w życiu spostrzegł swój własny wizerunek, co mu się bardzo podobało. Dotychczas przeglądał się niekiedy tylko w oczach żony.

— Jużci widzę znak czarny nad ślepiem... Cóż z tego?

— Teraz przypatrz się chłopcu!

— On takoż ma kresę podobniusieńką... Pewnie mu zczernieje z wiekiem.

— Naprzód zczernieje tak, jak u tego bękarta, coście mię w niego ubrali ty i babisia, a potem zrobi się podobna do twojej... Chciałabym tylko wiedzieć, co znaczy rychtyk ta sama skaza i w tem samem miejscu u córki Margieli. — Mówiła tak ostro, spoglądała tak badawczo, że chłop się zmieszał i zdołał tylko wybąkać:

— Co znaczy... Co znaczy... Prawdę mówiąc, nie wiem, co znaczy?

— Ty?... mnie?... prawdę?! — wrzasnęła zjadliwie patrząc w oczy męża. — Judaszu! Toć ja mam oczy! Rozumiem teraz, skąd się wzięło to cackanie z Margielką... Dosyć tego!... Nie ścierpię dłużej krzywdy swoich dzieci rodzonych. Zapowiadam ci, żebym w domu swoim od jutra nie widziała więcej tego podrzutka... Bo, rany Boskie, gotowam!...

Pioruny gróźb, przekleństw, spadły niespodziewanie na Budę, który, choć oszołomiony, przypomniał sobie, że dawniej w takich razach zawsze schodził babie z oczu. Chwycił co tchu kapelusz, uciekał z izby jakby oblany ukropem.

— Jezus Marya, coś ją, widzę, znowu podleciało. Dawno już nie była taka...

Sam nawet nie wiedział, jak i kiedy znalazł się pod chałupą, w której mieszkała babisia.

Przeskoczyliśmy w opowiadaniu kilka lat i musimy zaznaczyć, że w tym przeciągu czasu Boberska ogromnie się zmie-

niła: bardzo podupadła na ciele, na duchu. Zapewne sprawki syna przyczyniły się do tego niemało, a wiek podeszły, dychawica, łamanie w kościach dokonały reszty. Było to w drugiej połowie czerwca, a około godziny szóstej po południu.

Babisia w okularach na nosie siedziała przed chałupą i, opędzając się od much, łatała jakieś stare obleczenie.

— Witajcie! — rzekł Buda i przystanął.

— Oo, Jantek! — zawołała, spoglądając nań przez okulary. — Cóż się stało? Pewnie dzieciątko które zasłabło?

— Nie, dzieci zdrowe z łaski Boga!

— A bo macie minę taką, jakbyście się obwąchali cebuli albo chrzanu. Może tam i jest jakowa przyczyna... Dobryś! Założyłabym się, że Magdalena znowu jest w takim stanie... Pójdę do niej zaraz, pójdę. Mówiłam, że kiej się raz zacznie sypać błogosławieństwo boskie, to potem nie wiadomo, kaj koniec...

— Ej, nie to, nie! — odrzekł Jantek, wstrząsając głową. — Sprzeka oto,

aż dziwności. Ani wytrzymać w chałupie ani nic.

— Ha no, bo ona zawdy taka: wtedy dopiero statkuje, kiej jest w takim stanie. Cóż wy sobie myślicie? Kobieta jak lew i ma poprzestać na dwojgu dzieciach?

— Nagłość nie da jej przecież dzieci.

— Powiedzcież mi, o co wam poszło?

— Głupstwo ostatnie! nie warto plunąć, aż wstyd mówić... Przywidziało jej się, że ta Margielka nasza jest niby moje dziecko i narobiła piekła.

Boberska przybrała minę nadzwyczajnie poważną, rzekła głosem uroczystym:

— Robiłam wszystko, com mogła; tymczasem prawda jak oliwa na wierzch wypływa!

Jantek spojrzał na nią wzrokiem, w którym się odbijało zdumienie cielęcia, czy barana. Po chwili ocknął się i wybąkał:

— Jagato, co wy bredzicie?

— Bogać ja bredzę! Kiej Boberska mówi, to nie bredzi!... Ja powiem więcej: wy chłopi umiecie broić złe, czy-

nić jeno krzywdę, despet kobietom. Syn obełguje matkę, mąż żonę, a one głupie wierzą, dopóki prawda jak wół nie stanie do oczu... Oho, chłop sobie zawdy poradzi, a kobieta zostaje ze swojem nieszczęściem!

— Wy, Agato, i Magda oszalałyście chyba dzisiaj!

— Zrobić źle, a wypierać się do ostatniego! Tak wy, tak mój Mikołajek, tak chłop każdziutki... Oj, gdybym się drugi raz urodziła, byłabym ja inna!

— Słuchajcie, mogę sumiennie poprzysiądz, jak mi Boga potrzeba przy sko...

— Idźcież sobie! Jeszcze tego tylko brakuje, ażebyście nabluźnili, naobrażali Pana Boga.

Spojrzała z góry na chłopa przez okulary, odwróciła się i poszła do izby.

Jantek uczuł w głowie takie wzburzenie, że się musiał podrapać.

Wmawiano weń, jakoby był ojcem Margielki. Magda mogła sobie to ubrdać, wyssać z palca. »Tej kobiecie Bóg wie co przychodzi nieraz do głowy«; ale

Boberska, baba karmiona szpakami? »Ona nie jest z tych, co z igły robią widły. Wsiadła na mnie tak, jak gdyby była pewna swego. Coś w tem być musi, ale co?...«

Chaos w głowie począł znikać: pozostały w niej tylko trzy skazy nad okiem prawem, zupełnie jak w głowie Magdy. Buda znowu się podrapał.

— Coś w tem jest, ale co?

Wyszedł na pole, widział urodzaj ogromny, przypomniał sobie, że kiedy zaorywał i obsiewał te niwy, Margielka przynosiła mu warzę w dwojakach. Owładnęło nim uczucie dobre, miłe: kochał tę dziewczynkę, czuł to jedno i cały chaos znikł z głowy.

— A co ja sobie mam łamać głowę? Powiadacie, że ojciec, niech będę ojcem!

Z ogromną pewnością siebie wracał do domu, a w myśli sobie powtarzał:

— Po co się mam zapierać? Niech będzie tak, jak we mnie wmawiają!

Wszystkie wojny małżeńskie w domu Budów miały przebieg bardzo pra-

widłowy, dający się zawrzeć w trzech okresach. Najprzód — wybuch głośny i tak natarczywy, że strona napadnięta, zawsze mąż, poszukiwała ocalenia w ucieczce. Z kolei rzeczy następowały dąsy milczące, jedno- albo dwudniowe, przerywane zgiełkliwem tłuczeniem garnków, przewracaniem sprzętów domowych, kopnięciem psa lub prosięcia. W okresie trzecim strona zwycięska przestawała sapać i, jakby znużona walką, zdradzała usiłowanie zawarcia pokoju, mianowicie: Magda cedziła przez zęby różne słówka, niby to pojednawcze, które mąż winien był w lot chwytać i prosić o przebaczenie za to, co się stało. Gdyby zaś chłop nie skorzystał z takiej sposobności, to się narażał na prowadzenie nowej wojny.

Więc Buda, wracając teraz do chałupy, wiedział co go czeka, myślał, że dąsy. Tymczasem była to wojna niezwykła, wojna o wiarołomstwo, przeto nie miała przebiegu prawidłowego, okres dąsów przejawił się w postaci nadzwyczajnie groźnej.

Kiedy Buda stanął na progu izby, Magda czerwona jak burak od płaczu i z oczyma zapuchłemi, wiązała w płachty pościel swoją, obleczenie; widocznie przygotowywała się do podróży.

Chłop zdrętwiał, zupełnie zapomniał o postanowieniu przyznania się do ojcostwa Margielki. Przedewszystkiem strach go ogarnął.

— Ona gotowa wynieść się z chałupy... Boże święty!...

Następnie uczuł w sobie wyrzuty sumienia na widok Magdusi zgnębionej.

— Biedactwo, jak się też toto zbeczało, sponiewierało z mojej winy!

Zrobiło mu się w duszy tak ckliwo, jak gdyby serce jego było masłem, które stopniało od jakiegoś żaru. Rozczulił się bardziej, gdy Jacuś przybiegł do jego kolan i z płaczem zawołał głosem dziecięcym:

— Tatusiu jatuj!... Matusia okjutnie pjace.

Jantek poskoczył żywo, chwycił rękę żony i rzekł ze wzruszeniem:

— Kobieto, miejże litość nad dziećmi i nad sobą!

Baba może się spodziewała tego, a może już, kiedy ochłonęła z pierwszej nagłości, sama sobie powiedziała, że to, co zamierza zrobić, jest niedorzeczne. Wprawdzie żachnęła się na męża:

— Daj mi spokój święty!

Ale znać było po niej gotowość do ustępstw.

Buda w mgnieniu oka pomiarkował tę łatwość zawarcia przymierza z żoną i czuł się niewymownie szczęśliwym.

— No, no, co jej się stało!

— Tylo przywiązałość do dzieci trzyma mię przy tej chałupie! — mówiła, dławiąc się szlochem ugrzęzłym głęboko w gardle.

— Juści wiem, — przytakiwał Jantek, a w duszy myślał:

— Gdzie mnie się z nią równać? W piekło skoczyłaby za dziećmi.

Naraz Magda wyprostowała się, poczęła gładzić podbródek bardzo już teraz obwisły i rzekła głosem uroczystym:

— Zgoda! Dla dzieci i dla oka ludzkiego musimy żyć z sobą... Przeniosę to na sobie jakbądź, żeś mi złamał wiarę i życie... Ale, człowieku, nie chciej odemnie, abym ciągle miała na oczach twojego bękarta!

Chłop pochylił głowę, nie śmiał przeczyć; ona mówiła w dalszym ciągu:

— Sam musisz ją wyrzucić z domu i to dziś zaraz, jak tylko przypędzi z błonia bydło!... Ja jej nie chcę na oczy widzieć, rozumiesz?

Jantek zaroił się jak piskorz, a wtem posłyszał głos Margielki, która właśnie spędziła krowy z pastwiska i uganiała się z niemi po podwórku. Natychmiast wyszedł z izby.

— Margieluś — mówił głosem drżącym i zaledwie słyszalnym — zapędźno karą i łysego na błonie, zostań przy nich, dopóki ja tam nie przyjdę.

Margielka spojrzała zdziwiona, potem poszła do stajni, wsiadła na karą jak chłopiec, pojechała, a za nią pobiegły: łysy i Chwytek.

X.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby się Margielka zjawiła była wieczorem w izbie, Budzina wybuchnęłaby gniewem strasznym i niezawodnie skrzywdziłaby dziewczynkę. Ponieważ to nie nastąpiło, więc sumienie zabrało głos, poczęło dogryzać babie:

— Tak się nie robi! Skrzywdziłaś biedną sierotę... Cóżeś ty za chrześcijanka?... Pan Bóg cię może skarać na dzieciach.

Człowiek — widać z przyrody swojej — współczuje z bliźnimi nieobecnymi żywiej, niż z tymi, których ma obok siebie.

Jantek miał także na sumieniu Margielkę, czuł się współwinnym niedoli dziecka, żuł niechętnie podaną wiecze-

rzę, a jednocześnie rozmyślał nad tem, jakby tu pomódz dziewczynie i nie narazić się żonie. Widział wyraźnie, że sierota nie może już dłużej pozostawać w ich domu. Cóż z nią zrobić? Wyrzucić z chałupy, zostawić na łasce Bożej? Nie idzie!

— Tylko jedna babisia mogłaby mi dać dobrą radę i dać musi.

Postanowił jutro iść do Boberskiej, pogadać.

Skończył pożywanie wieczerzy, przeżegnał się znakiem krzyża, podniósł w górę Jacusia, który się krzywił i mrużył oczy, kiedy go ojciec przycisnął do twardej jak zgrzebło niegolonej brody.

— Idę do szkap na błonie! — rzekł krótko, opowiadając się Magdzie, a w głosie jego przebijała niejaka cierpkość.

Przez głowę Budy przeszła myśl: »Co jej ta mała wadziła w chałupie? Zwyczajnie, fanaberye babskie«.

Ociągał się przez chwilkę z wyjściem, gdyż myślał, że żona powie co, a wtedy, zdawało mu się, przyciąłby jej setnie na wychodnem.

Budzina miała jakieś przeczucie, że mąż wychodzi z domu dlatego, ażeby spotkać Margielkę i to przynosiło niejaką ulgę jej sumieniu wzburzonemu.

— Jantek pewnie naprawi tę krzywdę... On ma serce dla sieroty.

Nie poprzestała na przeczuciu, wybiegła za mężem, przyzwała go:

— Jantek, pójdzi-no!... Widzę, żeś markotny o tę dziewczynę. Z nagłości mi się tak wyrwało... Niech ona wróci do chałupy i zostanie!

Chłop wzruszył ramionami.

— W łeb strzel, nic a nic nie rozumiem!

Zabrał się i poszedł.

Tymczasem Margielka, jak tylko wyjechała z obejścia gospodarskiego na drogę, spostrzegła pod ruderą Pomarla Pukalinę, a obok niej jakąś babę, która wyciągniętą ręką wskazywała na chałupę Budów. Obie kobiety zaszły dziewczynie drogę i Chwytek rzucił się do nieznajomej, szczekając:

— Chwytuś, oo, Chwytuś! Nie poznałeś? — mówiła obca baba i gła-

skała psa po głowie, a on ją wąchał, począł się łasić..

Naraz Pukalina wystąpiła i rzekła do małej:

— Smarkata, zleź z konia, ucałuj ręce, nogi tej kobiety! Wiedz, że to jest twoja matka rodzona!

Margielka spojrzała ogromnie zdziwiona, potem wstrząsnęła główką, odrzekła spokojnie:

— Stroicie sobie ze mnie żarty, jak gdybyście nie wiedzieli, czyjam ja córka! — i nożynami drobnemi trąciła po żebrach kobyłę, która z miejsca ruszyła kłusem na błonie.

— Stój! stój! — wołały na wyścigi obie baby, ale dziewczyna pędziła, trzymając się oburącz grzywy szkapy.

Nieznajoma kobieta pobiegła za nią w derdy.

Był to ów miły zmrok letni, stanowiący przejście od życia dziennego do spokoju nocy. Niebo miało barwę zielonawo-złotawą, gwiazda prześliczna płonęła na zachodzie, a ponad łąkami zawisła bieluchna szmata oparów. Żaby

jeszcze się nie rozwrzeszczały po bagnach na dobre, derkacz także słabo puszczał w ruch swą trejkotkę, tylko czajki wyprawiały piski namiętne, jakby utyskując na życie pełne trudów i zawodów.

Kara i łysy od razu jęły pracować szczękami, a Margielka usiadła pod wierzbą, przyjaciel Chwytek legł u stóp jej zwinięty w kłębek.

Dziewczyna była dumna z tego, że oto wyręcza tatusia w czynności, którą zwykle spełnia płeć męska. A jednak czuła w duszy »nijakość«, stan niewolący ją, aby sobie zaśpiewała jaką smutną piosenkę. Słowa tej piosnki miały już już popłynąć z ust i zlać się z biadaniem czajek, kiedy pies nastawił uszy, warknął. Drgnęła, odwróciła głowę i spostrzegła kobietę, którą Pukalina nazwała przed chwilą jej matką.

Chwytek poskoczył, witał przybyłą jak dobrą znajomą.

— Moje dziecko, a czegóż ty uciekasz przedemną, matusią swoją? Pan Jezus nie da ci przecie drugiej matki...

Wstydzisz się mojej nędzy, co? — mówiła nieznajoma, podczas gdy Margielka szeroko otwarła oczy, wpatrując się w postać szarą, przygarbioną, z tobołem na plecach.

— Skądżeście wy? — pytała dziewczynka nieśmiało i z niejakim przestrachem.

— Z Gwoździeńca, moja duszo! Jestem Margiela, matusia twoja... Mogę zaprzysiądz na wszystkie świętości... Prawda, prawda, przecie ty mię znać nie możesz. Kiedy to tam, ho, ho!

Zrzuciła z siebie brzemię, usiadła obok, westchnęła, pochwyciła w szorstką dłoń drobną rączkę Margielki i mówiła głosem tkliwym:

— Dziecko, ty się nie wstydź matki! Jestem kobieta sprawiedliwa, Bóg to widzi... Tylko wypadek taki, wypadek! Zawiązałaś mi życie, biedo, kiedyś na świat przyszła... Dajże mi pocałować gębusię, oczko!

Objęła dziewczynkę, przycisnęła do piersi, wpiła się w nią ustami, całowała po twarzy, po głowie, w ramiona,

w piersi. Szczęście ją rozrzewniło, wybuchnęła płaczem. Osobliwy dźwięk głosu, jakiś serdecznie żałosny, i te pieszczoty wzruszyły także Margielkę, wycisnęły jej łzy z oczu. Przez chwilę obie łkały.

— A powiedz-że mi, żyje też jeszcze Jagata babisia? — zapytała Margiela.

— Żyje! — odparła dziewczynka, zamyślając się o tej nowej matce.

— No, to babisia wie wszystko najlepiej! Ona w Gwoździeńcu, a w niebie Matka Boska Częstochowska.

Z temi słowy sięgnęła do tobołka, rozwiązała płachtę, wydobyła obraz, pocałowała go i podała dziewczynce.

— Przyniosłam ci oto, weźmij sobie, a pamiętaj, że Ona jest cudowna!... Boże, ilem ja cudów od Niej doznała!

Margielka wzięła obraz, także go pocałowała w milczeniu, a nieznajoma znowu poczęła:

— Bo ja, moja córuś, siła przeszłam... Cudu trzeba było, żeby to wszystko przeżyć, i gdyby nie Ona, tobym cię już nigdy nie widziała. Dniem i nocą

wyraźnie mi mówiła do serca: Idź, poszukaj dziecka! Ciągnęła mię prawie za rękę... Cudowna!

Znowu objęła dziewczynkę, ucałowała i znowu mówiła:

— Ludziska napastwili się nademną... Matko Boska Częstochowska nie pamiętaj im tego! — Podniosła oczy i rękę w górę. — Choćby i ta ostatnia służba moja... Dzień w dzień przykazywali mi kraść chróst, gałęzie, łupki w cudzym lesie... Gajowy schwycił mię, skatował, a oni powiadali: bijcie lepiej, my jej kraść nie kazali! Odsiedziałam kryminał za cudze winy... Ale ty się mnie nie wstydź, córusiu! Ja nie złodziejka!

Wtem uderzyła się ręką w czoło, jak gdyby sobie coś przypomniała:

— No, moi ludzie, przyszłam z za dziesiątej wsi do córki i na śmierć zapomniałam, że trzeba dziecku dać gościniec! A jakże, przyniosłam ci kukiełkę i paciorki na szyjkę!

Sięgnęła znowu do tobołka, wydobyła placek żółty z twarogiem, tak zwany mosiężnik.

— Naści, jedz, mojaś-ty! To musi być dobre...

Zawiązała dziewczynce dwa sznurki paciorków szklanych na szyi i zamilkła; widocznie nie chciała małej przeszkadzać rozmową podczas zajadania kołaczyka.

Margielka, chociaż była dziś bez wieczerzy, nie czuła głodu, gryzła placek od niechcenia i jedynie dlatego, że trudno odmawiać tak serdecznemu zapraszaniu.

— Kole cię, widzę, w ząbki, córuniu?

— Bardzo smaczne!

— Ee, tobie tam pewnie dogadzają u Budów! Niech im to Bóg najwyższy wynagrodzi! Jantkowa jeno mnie coś nie lubi... Cóż tam ja znaczę? Osobliwie teraz, kiej odsiedziałam kryminał?... Wszystkie wstydy dźwigam na sobie. Po Gwoździeńcu gruchnie zaraz: Margiela złodziejka! Mnie nikt nie lubi... Tylko ty, dziecko, nie wierz, że twoja matka złodziejka!

Otarła łzy z oczu.

— Napłakałam się już tyle, że nie

powinnam mieć ani jednej łezki w oczach, a tu ciągle jeszcze kapie... Za płacz nawet mię bili. Toć ja, córusiu, miejsca zdrowego nie mam na ciele... takam zbita. Jedna Matka Boska i druga babisia okazywały mi miłosierdzie... Mojaś-ty, jedz kukiełkę, jedz, zrób to dla matusi!

Przygarnęła do siebie małą, pocałowała ją kilka razy w główkę. Znowu zaczęła prawić:

— Dziwno mi, że oni cię wysyłają pasać konie po nocach, dziecinę taką.

— Ja okrutnie lubię pasać konie — odparła dziewczynka.

— Ja ci tu zrobię posłanko, ułożę cię jak w łóżeczku, to się prześpisz, a matusia za szkapami popatrzy... dobrze?

I nie czekając na odpowiedź, Margiela poczęła się krzątać. Najprzód zawiesiła obraz Częstochowskiej na suchym sęku wierzby, potem wyjęła z tobołka poduszkę, różne stare szmaty, i usłała wygodne łoże.

— Połóż się córuś, będzie ci dobrze!

— Choćbym się położyła, nie zasnęłabym.

Księżyc wspaniale wszedł na niebo i zalał blaskiem całe błonie. Trawa błyszczała brylantami rosy. Mnogość przeróżnych głosów wrzała naokoło w ciepłą i jasną noc letnią.

Margiela spostrzegła, że mała dzieli się z psem okruchami placka, wyjęła natychmiast z toboła bryłę chleba czarnego, rzuciła wspaniałomyślnie dawnemu słudze z Pomarla. Ten chleb musiał być bardzo twardy, gdyż Chwytek rozparł się nad nim, jak nad gnatem, i mozolnie pracował szczękami.

Słowa płynące prosto z serca i do serca przemawiające, troskliwość iście macierzyńska, oddziałały na dziewczynkę. Dusza młoda, niewinna, musiała bezpośrednio odczuć, że ten prawdziwie kocha, kogo mus miłości nagli do kochania, i przylgnęła do nowej matusi. W krótkim czasie obie tak się porozumiały, jak gdyby wiele lat przeżyły z sobą. Szczęście matki polegało na pewnej wewnętrznej dumie, czy chlubie:

mam córkę. Dziecko doznawało rozkoszy, ponieważ je pieszczono.

Częstochowska, oświetlona blaskiem księżyca, spoglądała z obrazu na wierzbie, a wzrok jej zdał się wyrażać mniej surowości, niż ongi na Pomarlu.

W niejakiem oddaleniu, naprzeciw, ukazała się postać człowieka idącego przez błonie. Rósł w miarę zbliżania się i cień olbrzymi padał od niego na ziemię.

— Tatuś idą! — szepnęła Margielka i wzrokiem niespokojnym obrzuciła błonie: gdzie kara, gdzie łysy.

— Jantek! — mruknęła Margiela przeciągle.

Obie powstały i biegły ucałować rękę przybyłego.

Buda zdziwiony spoglądał wzrokiem pytającym to na dziewczynkę, to na Margielę, na wierzbę z obrazem Matki Boskiej.

— Co to to jest? — zapytał.

— Nie poznajecie mię, gospodarzu?... Jestem Margiela.

— Aa, Margiela! — odrzekł jakby w marzeniu sennem. — Witajże!

— Przyszłam nawiedzić córkę, podziękować wam pięknie za opiekę.

— No, niczego, dziewucha wyrosła.

Odwrócił się ku małej, która jaśniała radością, słysząc wyraźne potwierdzenie, że ta nieznajoma taka dobra kobieta, jest rzeczywiście jej matką. Chciał powiedzieć Margielce: »Matusia kazała ci, żebyś wróciła do chałupy...« Sam nie wiedział, dlaczego słowa ugrzęzły mu w gardle. Może sobie wspomniał, że wobec matusi prawdziwej, nie wypada mówić o przybranej.

Ludzie prości nierzadko odznaczają się wytwornością wewnętrzną, pełną wdzięku skromności.

Widok szczęśliwej, ślicznie uśmiechniętej twarzyczki dziecka nastręczył chłopu myśl: »Ona w naszym domu nigdy się tak nie uśmiechała... bo Magda...«

Miał do Magdy urazę, że odzierała dziecko ze szczęścia, a jako mąż Magdy czuł się współwinnym krzywdy

wyrządzonej Margielce. Jednocześnie ten obraz Częstochowskiej, zawieszony na sęku wierzby, oblany światłem księżycowem, napełnił duszę Jantka jakąś uroczystością.

Buda przez chwilę stał w milczeniu, nareszcie rzekł:

— Zostańcie z Bogiem!

Z powrotem do domu wybrał mimowolnie drogę dłuższą, a myśli tłoczyły mu się do głowy. Najprzód obwiniał Magdę, że się za surowo obchodziła z Margielką. Potem ją usprawiedliwiał: »Ha matka! Przecie z początku byłaby ozłociła to dziecko, zmieniła się, kiej własne dzieci na świat przyszły — dla nich wszystko«.

Teraz przypomniał sobie słowa babisi: »Magda wtedy dopiero statkuje, kiedy jest w takim stanie... Cóż wy myślicie? Kobieta jak lew i ma poprzestać na dwojgu?« Zaczął rozmyślać, czy wiele dzieci jest błogosławieństwem boskiem, czy nie — dla gospodarza. »Michała Rudnika dzieci zjadły!«

Dochodząc do domu, zdjął kapelusz

i odmawiał pacierze zwykłe przed udaniem się na spoczynek. Otwarł cicho drzwi izby, aby nikogo nie zbudzić. Ale jakoś za głośno mruknął: »Nie wodź nas na pokuszenie!« I Magda się ocknęła, zapytała:

— Jantek, czyś to ty?

— Któżby?

— Margielka wróciła do domu?

— Nie wróciła!

— A to dlaczego?

— Bo jej lepiej być z matką rodzoną!

— Pójdźże tu bliżej, opowiedz, co się stało?

— Dzieci się pobudzą... Zaczekaj do jutra!

— Nie bój się, dzieci śpią jak zarznięte!

* * *

Nazajutrz rano Margiela i Margielka szły przez wieś do Boberskiej, Chwytek podążał za niemi. Chodziło o to, ażeby złożyć babisi uszanowanie, przytem napomknąć, czyby nie chciała prze-

mówić we dworze, albo gdzie tam trzeba »kóli jakiej służby i kawałeczka chleba«.

— Okrutnie źle mi było na świecie samej, ale skoro mam ją, — mówiła Margiela, wskazując wzrokiem na dziewczynkę i całując Agatę raz po razu w rękę, to mam w Bogu nadzieję, że teraz...

— Była jedna bieda, a teraz będą dwie biedy! — rzekła babisia z naciskiem. — Gdzie ty, kobieto, niedojda taka, jak cię znam, udołasz zarobić na siebie i na dziewuchę?

— A czy to matusia potrzebują na mnie pracować? — odezwała się Margielka. — Toć ja rozumiem każdą robotę i każdej poradzę... Jeszcze tego potrzeba, żebym, dziewa tyla, nie umiała zarobić na siebie i na matkę!

Wystąpienie dziewczynki ogromnie się spodobało Boberskiej.

— Patrzcież, jaki to rozum rzetelny u tej smarkatej! Znać na niej wyćwikę Budziny... Pięknie, pięknie! Może z cie-

bie wyrosnąć baba setna i kiej mój Mikołajek wróci z wojska, to cię jeszcze wydam za niego.

Dziewczynka drgnęła na wspomnienie owego »licha«, swego prześladowcy dawnego. Margiela zaś uważała sobie za ogromny zaszczyt to powiedzenie i trzy razy z rzędu pocałowała babisię w rękę, do czego także zachęciła córkę mrugnięciem oczu.

Boberska z kolei rzeczy powiedziała matce i córce kazanie o wdzięczności, kazała im zaraz iść do Budziny podziękować »jak najpiękniej pod kolana za wszystkie łaski i dobrodziejstwa«.

Potem babisia poszła na zwiady do Basi Dajaczowej, gdzie się dowiedziała, że we dworze jak raz potrzeba pomywaczki do kuchni, a swoją drogą dziewczyny do obsługi »paniusi«.

— Łaska Boska nad wami jak najwyraźniej świeci! — Temi słowy Boberska zwiastowała matce i córce dobrą nowinę.

Musimy tu dodać, że we dworze

zmieniano teraz co miesiąc pomywaczkę i służącą paniusi.

Jeszcze tego samego dnia Margiela i Margielka, uszczęśliwione, zaczęły spełniać obowiązki.

PG
7158
.D9.M3

PG 7158 .D9 .M3 C.1
Margiela i Margielka
Stanford University Libraries
3 6105 036 150 360